

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

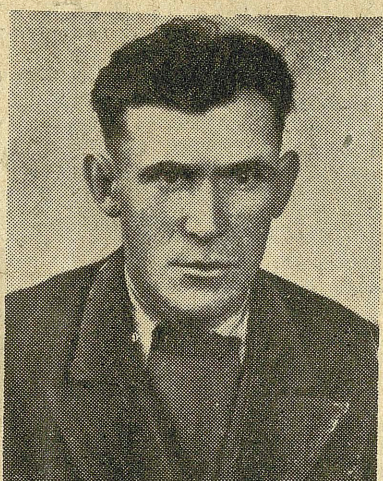
Warszawa, dn. 29 VI. 1952 r.

Nr. 26 (360)

PISZA KOBIETY ZE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH



Julian Maruda



Stanisław Wedman

ZOFIA KULIŃSKA

MASZYNA TO JEDNO, A SERCE TO DRUGIE!

MASEOWICE, pow. Sławno

JAK ten czas leci... Pisałam do Was ostatni raz na 1. Maja!)



Zofia Kulińska

aby donieść, że siewy w naszej spółdzielni dobiegają końca. Ukończyliśmy je w trzech dniach, to znaczy — na pięć dni przed terminem. Pierwszą w gminie, przeto wygraliśmy u współzawodnictwa. Potem posłaliśmy buraki cukrowe i len, potem sadziiliśmy kartofle. Przygotowaliśmy do sianokosów kosiarki i roztrząsarki i sianokosy też ukończyliśmy przed terminem. Tak nam teraz idzie praca aż miło popatrzyć — pola dobrze uprawione i ludzie pracują. A w pierwszych dwu latach bywało — śmiali się na wsi, że zarobiemy perzem. Ale co miały zrobić jednostki, a nawet gromada nas, kiedy przewodniczący (z kumotami z komisji rewizyjnej) nie dbał o rozwój i był nawet zadowolony jakęśmy się na polu kłócili czy tak, czy inaczej robić. Śmiały się wtedy i mówili, że to „mechaniczna uprawa” z nerwów nas wyprowadza, a bez niej byłby święty spokój. Potem się pokazało, że ten perz (i wiele innych poważniejszych strat, o czym pisałam już obszernie), to wina przewodniczącego („grzech w niedziale pracować” — mawiał ten orędownik chyba przed wojną) i uina nas wszystkich, że nie umieliśmy wcześniej przegonić wroga z naszej spółdzielni i jego kumotów.

A wiecie jak należy dopilnować? Nasz nowy (od jesieni) przewodniczący, a starszy to chłop (choć przy kłótniach wyciągnął w ubiegłym roku 320 dniówek), co dnia chadzał w pole na orkę do traktorzystów i furmanów, a miaręczkę trzymał w ręku i co parę kroków chyłił się i mierzył głębokość roli, a potem do traktorzystów: chłopcy, źle pod wierzbaną, źle pod góreczką, zarobiliście. Jak znaleźć raz jeszcze takie miejsce zamelduję w POM-ie. Nam chłopcy, potrzeba ludzi robotnych, z których użór będziemy brać. A Wam nie mówię w POM-ie — że maszyna jedno, a serce to drugie? Można to przynieść do spółdzielni bez serca? Ja Wam jeszcze teraz wybaczam, ale jakbym się dowiedział o jednym stajaniu za płytko zaoranym na wsi, to gospodarzy, to jak mnie tu widzieć, zobaczycie mnie u was w POM-ie. Zapamiętajcie sobie, wy nie orzecie — u waszcie macie zdobywać ludzi dla socjalizmu, maszyną i sercem!

O, nasz przewodniczący umie po swojemu, tzn. po naszymu — stajemy przeciw — przemawiać ludziom do rozumu i do duszy. Bo o to idzie, że na dobrze uprawionej ziemi podnieśliśmy plony dla siebie i dla Państwa

1) Patrz: Z. Kulińska — 1 Maja (Wies nr 18).

2) „Moje i nasze życie” (Wies nr 16/17).

Zofia Kulińska

MARIA JARKOWSKA

A leciały za mną kamienie...

WITASZÓW GÓRNY, pow. Świdnica

BARDZO krepuję się mojego pisma, aby kłós nie krytykował za błędy, ale jestem samoukiem. Czytałem nauczyciela się z sztydów. Od dziecka byłam sierotą i ciężko u ludzi pracowałam a to jeszcze za czasów carskich. Za mąż było mi trudno wyjść bez posagu, choć brzydka nie byłam i dopiero Rewolucja Październikowa na poglądy trochę wpłynęła, wziął mnie więc Jarkowski za żonę, bo się przyglądał w tych czasach co człowiek a co bogate bydle. Mielśmy potem syna jedynaka i żyliśmy pragnieniem, aby jego zdolności nie przepały. Na koniec go wykształcałam i oddałam Polsce Ludowej, niech strzeże granic pokoju, bo mój syn jest teraz kapitanem w Wojsku Polskim a ja i mój stary zaczęliśmy budować we wsi fundament dla socjalizmu, to jest nasz cel. Pragnę pokoju i lepszego jutra — żeby nie było już wyzysku człowieka przez człowieka w naszym kraju. Żeby nie było takich, jak ja kiedyś, sierot i bezdomnych, żeby się nie uciżyły czytać z sztydów ale w jasnych klasach szkoły i nie kraśniały ze wstydu, że choć może i ładne ale niepiśmienne — ślepa, niczego nie świadoma siła.

Wybaczenie, że od wspomnień zaczęłam i od tych sztydów, co były moją szkolną tablicą. W naszym dawnym życiu chłopiejskiej biedoty gdzie było miejsce na pisanie? Gospodarstwo w rachunek domowy zapisać, jak sklepikarz w dzienniczek od bogowania nasze dni? Listy do krewnych? Jak poszli w świat to na nędzę niemielszą niż w domu. Ciemni i w nędzę nie pisali. Co innego teraz, po wojnie. Po całym kraju ruszają się chłopcy jak po wielkim, wspólnym mrowisku. Na wesele, chrzciny i święta jadą z jednego końca Polski w drugi. A listy wciąż kursują. A ja to nie byłam w Warszawie? I społecznie i prywatnie. Bo mój syn — lotnik mieszka w Warszawie, ożenił się, ma śliczną córeczkę a ja zostalam babką.

Co do rachunku to teraz ma co zapisać nawet chłop na swojej gospodarce z powodu, że rolnictwo jest planowe i jemu się lepiej widzie. Ale nie ma porównania między indywidualnymi a nami, spółdzielcami. Każdego z nas to aż ciągnie aby w liście do krewnych napisać za pomocą rachunku. Bo w naszych rachunkach jest na co popatrzyć.

Ostatnie swoje życie oddałam Polsce Ludowej. Jak umiem tak pracuję. Przemagam reumatyzm, słabości serca i kołectwo prawej ręki, bo mam pokrzywione palce. Jak umiem tak walczę z wrogiem spółdzielni; jak rozumiem tak wskazuję i radzę innym. I dziś już prawie widzę jakie wyniki dała nasza praca. W zeszłym roku ci sami ludzie mówili mi w oczu — chciałabym kochać to pracę, my nie głupi. I ja pracowałam i spokojnie objaśniałam. Ale bałam się, że sama się zalamię. Kiedy leciały za mną kamienie, powstawał we mnie wtedy bunt ale mówiłam drugim — niech się opamiętają, bo jeśli mnie zabiją to dużo ludzi pójdzie na marne do więzienia. Pod koniec roku lu-

dzie zaczęli się sami garnać do mnie i wtedy już mogłam otoczyć na tymi, co przeszli i znają krzywdę mówić w oczy innym o ich podłościach wrogiej roboty.

Moje uświadamianie i przekonywanie doczekało się plonu. Przychodzimy do ciebie matko — mówią dziś ludzie — po radę i pomoc. W czasie wyborów nowego zarządu dawny przewodniczący chciał być ponownie obrany. Gadał, że jak on będzie, to spółdzielnia jakoś jeszcze przetrwa a bez niego rozwalą się.

A przez cóż to spółdzielnia poniosła duże straty? 10 ha miazanki zgnióło na polu a słoma jęczmienna z 5 ha i dużo innego w czyż to wpadło ręce? Gdzie się to prowadziła ta niezdrówna robota, czy u nas czy w zarządzie? A kto go mógł kontrolować do czasu, kiedy z nim jednej myśli była kumoterska komisja rewizyjna? A kto to obrywał nam dniówki? Nie przewodniczący? Ja z mężem wypracowaliśmy 233, a przy rozrachunku okazało się, że ja mam nie 77 a 63 dniówki, mąż nie 126 a 114. U innych członków też tak było. Nie zbiedniałam przez te obrywki. Jesteśmy z mężem całkowicie zabezpieczeni, żyjemy w dostatku. Dla innych może było to było za mało ale dla nas zupełnie wystarcza. Ale to były złe stosunki: niszczenie pracy, kradzież i demoralizacja. I wybraliśmy nowy zarząd. Przewodniczącym został Stanisław Bury, do zarządu wybrano Józefa Gałązkę i mnie. U nas jeden członek zarządu odpowiada za pracę polową, drugi za inwentarz. Stary przewodniczący powiedział wtedy, że jeśli Jarkowska jest w zarządzie to źle. Złe dla wrogów spółdzielni i szkodników. Bo co się okazało w nowym okresie? Atmosfera daleko zdrowsza. Członkowie rozumieli ważność wspólnej pracy, mają zaufanie do nowego zarządu, w tym roku pracują dobrze nawet ci, co w zeszłym nie chodzili w pole. Pewnie, że uświadamienie nie doszło jeszcze do wszystkich jednakowo. Odrabiamy musimy ubiegły rok, w którym więcej pracowaliśmy. W tym roku już nie szkodzi nam z zarządu ale czynność jest bardziej musimy wzmóc, bo wróg jak jastrząb co góruje w obłokach niewidoczny dla oka, ale jak doirzy ofiarę to spadnie i zamaci spokój naszej pracy. Taki prawie niewidzialny wróg najtrudniejszy, bo nie wiesz gdzie go szukać a mamy przecieć znak po nim, taką ofiarę. Znużona swoją przegradową gospodarką, krowę oddał do sąsiada, do domu puścił lokatora, żonę i dzieci wysłał do rodziny, skąd tu przybyli i sam wręczyć pojechał a przecieć był w tamtym roku dobrym pracownikiem. Wróg go nam wyrwał i zmarnował. Bo człowiek ten zamiast dążyć do dobrobytu upadł i grzeźnię w rozkładzie. Na taką sytuację czuję się za słaba. Potrzeba nam pomocy i nauki Partii, abismy z całą spółdzielnią i całym zespołem idąc naprzód nie stracili no droższe ani jednego członka. Bo taki bardziej ofiarą jest wroga niż sam wrogiem.

Maria Jarkowska

JAN BOLESŁAW OŻÓG

WIECZÓR WE WSI PRODUKCYJNEJ

Świeci nowy gwiazdźbiór łąkom i ciemnym lasom —

plon elektryfikacji. Piosenka o Nowej Hucie

od głośnika podbiega. Traktory trzmiel basom

podobne — już w garażach. To wszystko, wszystko.

W skrócie.

Kraj snów, który dzierżawi poeta czy profesor.

Tak gdy sztandary ploną, a w płotach — bez i szalej,

agronomów do POM-u mgła unosi jak resor,

„pekaesiak” nadjeżdża i ten wiezie ich dalej.

W świetle lip i żarówek idą tłumy do kina.

Traktorzysta na wargę kładzie z gracją „Górnika”

i wpatruje się w okno, a tam jego dziewczyna

przed lustrem w włosy wtyka różdżkę storczyka.

Zakochaj się, zakochaj, jeśli tylko potrafisz,

a teraz — pod te mury z niezdarnym u drzwi sztyldem.

Skąd we frazach muzyki błyska lampka i afisz

z jabłonią Miczurina i małym Copperfieldem!



Maria Lamot w otoczeniu swoich dzieci

MARIA LAMOT

Inaczej kochamy dzieci

DĘBNICA, pow. Cieluchów

BARDZO mnie zaciekawiło to, co we „Wsi” przed kilku tygodniami pisała Zofia Kulińska o swoim życiu i spółdzielni w Masłowiecach. Moje dzieciństwo też, tak jak Kulińskiej, nie było słodkie. Rodzice nie posiadali ziemi, nie mieliśmy nawet swojego domu. Dopiero kiedy ojciec wyjechał do Francji za powrotem kupił mały domek, ale robić trzeba było dalej u kulałów i to nie tak, jak teraz, kiedy się idzie za maszyną i stawia snopki ale trzeba było żąć sierpem, kopać motyką i młócić cepami. Matka do młyna nie wiozła żyta na chleb, kreciliśmy je w żarnach. Kiedy wyszłam za mąż nie zmieniło się na lepsze, jeszcze na gorsze. Bo nie mieliśmy gdzie mieszkać a dzieci przybywały.

To też kiedy otwarta się droga na Ziemię Odyskane pojechaliśmy z żoną i już 6 maja 1945 stanęliśmy z dziećmi w Cieluchowie. Tutaj dopiero zaczęło się lepsze życie. Dzięki naszemu Rządowi Ludowemu i naszej Partii dostaliśmy konia, krowę i — boże na zasiew. I tutaj dopiero, choć trzeba się było urobić, aby stanąć na nogi — poczuliśmy ureszcie, że nie tylko mamy to, co dawniej mieli średniozamożni gospodarze ale pewność i przyszłość, jakiej oni nie mieli, bo żyli w ustroju, w którym przymieraty z głodu miliony chłopów i robotników. Wtedy albo groziło chłopu, że stoczy się w nędzę albo że „dorobi się” z potu, krwi i łez tych, których zepchnię w otchłań nędzy.

Myśmy rozumieli, że nad nami jest opieka władzy robotniczo-chłopskiej, która wszystkich pracujących chłopów prowadzi do dobrobytu. To też, kiedy w 1950 r. zaczęło się w naszej wsi mówić o spółdzielni produkcyjnej, zapisaliśmy się z mężem. Było kilku bogaczy, którzy różnymi plotkami straszili, aby nie dopuścić do założenia. Mimo tych trudności w grudniu 1950 r. spółdzielnia powstała, weszło 30 członków, w tym 5 kobiet.

Wiosną upływ kobiet-członkiń, okazał się duży. Wszystkie żony i matki spółdzielców wyszły w pole do pracy, podobnie dzieci szkolne, tak że każdą akcję mieliśmy wykonać przed terminem. Na jesieni użnana została nasza spółdzielnia za produkującą w powiecie. Dniówka obrachunkowa wyniosła po spłaceniu krótkoterminowych pożyczek, 19 zł 30 gr oprócz zbiorów ozimych, które członkowie zbierali jeszcze indywidualnie. W ubiegłym roku jeszcześmy prawie nie mieli hodowli, bo inwestycje przyznane nam, otrzymaliśmy dopiero jesienią. Kupiliśmy wtedy 14 krow, buhaj, 3 jałozki, knura i 20 sztuk prosiaków. Z braku chlewni narazie tyle, ale mamy w planie wybudować i rozwinąć hodowlę na większą skalę, gdyż chów krow i trzody chlewniej stawiamy na pierwszym miejscu. Mamy też pasiekę i założyliśmy hodowlę drobiu, na porzątek 400 sztuk kurczak (z wylegarni). Tu muszę pochwalić mojego męża. Kury — babka to sprawa, ale że nam przysłało te maleństwa w marcu, kiedy były jeszcze silne mrozy, żadna z kobiet nie chciała karmić piskląt, każda machała ręką, że zaprzędzie, wyżydzą. A mój mąż swoim sposobem wybudował sztuczną krowkę i kurczaki ładnie wyrosły i dobrze się chowały. Na czym więc 1-majowy chłop nasi wybudowali kurniki obzerne sposobem gospodarczym i tak to powstała ferma kurza za sprawą chłopów. Przy okazji wymienię kilku członków, którzy zasługują na wyróżnienie. A mianowicie, pierwszy jako dobry nasz gospodarz — przewodniczący Win-

centy Zukowski, dalej — Henryk Skoneczny, Aleksander Równy, Henryk Lamot, Stanisław Idzik i Józef Prus, oborowy. Czyli, że same chłopcy. Bo takich bojowych kobiet, jak Zofia Kulińska — muszę przyznać — u nas jeszcze nie ma. Owszem, do roboty wychodzą ale z poświęceniem i ofiarnością nie w tak porywającym stopniu, jak to przedstawia Zofia Kulińska w swojej spółdzielni w Masłowiecach. Jeszcze nie mają nasze kobiety takiego rozmachu. Wróg robi swoją robotę, sieje plotki rodem z piekła tych ludobójczych zagranicznych. I myśli, że postraszony naród, że strachliwy kobiety? Może straszne małe dzieci, bo my spółdzielnie na ich straszenie bombą i zarząz odpowiemy jeszcze większą wydatnością pracy. A ja jako przewodnicząca koła gospodyń będę się starała podciągać nasze kobiety, aby bojowo stawały do pracy, tak jak Zofia Kulińska. Co do mnie to mam jedno zmartwienie, że mimo najlepszych chęci nie będę mogła wypracować dużo dniówek, bo jestem obciążona dziesięciorgiem dzieci a wszystkie jeszcze małe i malutkie. Jedna tylko, najstarsza weszła teraz za mąż, mając 17 lat. Ale za to mnie czeka na urzędzie nowy poród. Mam dopiero 38 lat i dużym mogła zrobić ale z tego powodu... kobiety chyba mnie zrozumieją, bo dobrze u nas widać co jest trudnością a co żłą wolą.

Przedszkole to w naszej wsi mamy już od 1947 r. Mamy także świetlicę, bibliotekę, radio i adapter w świetlicy, drugie radio w zarządzie spółdzielni a u wszystkich członków głośniki. Trzecie radio jest w szkole. Na nie składali się wszyscy rodzice. Bo dzieci mi spółdzielcy kochamy inaczej niż dawniejszy chłop na swoim. Ten dawny chłop też je kochał, dla nich przecieć chciał gospodarować co czegoś doprowadzić aby miały po nim na czym i z tego żyć. Ale on tego i surowo to sztykował. Dzieciom odbierał dzieciństwo, głodem i pracą ponad siły z góry płacił dzieci za nadział. Zabrał je ze szkoły, bił za książkę, gwałcił na deszcz i mroź. Bo jego samego gwałt strach, upadek gospodarstwa i nędzy. Popędzała go ciemność i chęć, jakiej uczył na każdym szczepie kapitalizm. My teraz inaczej żyjemy. Pierwsza w naszym życiu sprawa to dzieci. Ona będą tą drugą, jeszcze lepszą siłą naszej ojczyzny i socjalizmu. Niech się więc jak najlepiej rozwijają.

Dlatego wspomnę tu, że brak w świetlicy dobrego kierownika, który by zajął się naszą młodzieżą a warta tego, bo sama się ćwiczy i urządza przedstawienia. Żeby kierownik szkoły okazał więcej dobrych chęci to nasza świetlica stałaby jeszcze lepiej.

Mieliśmy w ubiegłym roku zióbek sezonowy od sierpnia do grudnia. W tym roku miał być wcześniej, bez zióbka, bo kierowniczka jeszcze pono na kursie a dużo u nas kobiet, które mają małe dzieci i nie mogą bez zióbka wyjść do pracy.

Jednego najbardziej zadrozcze Zofii Kulińskiej — wycieczki do Związku Radzieckiego. Jakże bym chciała tam pojechać, bo wiem jak taka wycieczka dać może dużo nauki i doświadczenia. W tym przagnieniu odziera się również we mnie matka, która ma 10 dzieci, a jedynaste nosi w tonie. Matka, która chciałaby już wtedy, kiedy ma jeszcze małe, zobaczyć na własne oczy ich ustanianą przyszłość, jaką naszym dzieciom przynosi socjalizm.

Maria Lamot

ZOFIA RUDZKA

»ODNAJDZIEMY SIĘ JAKO NARÓD«

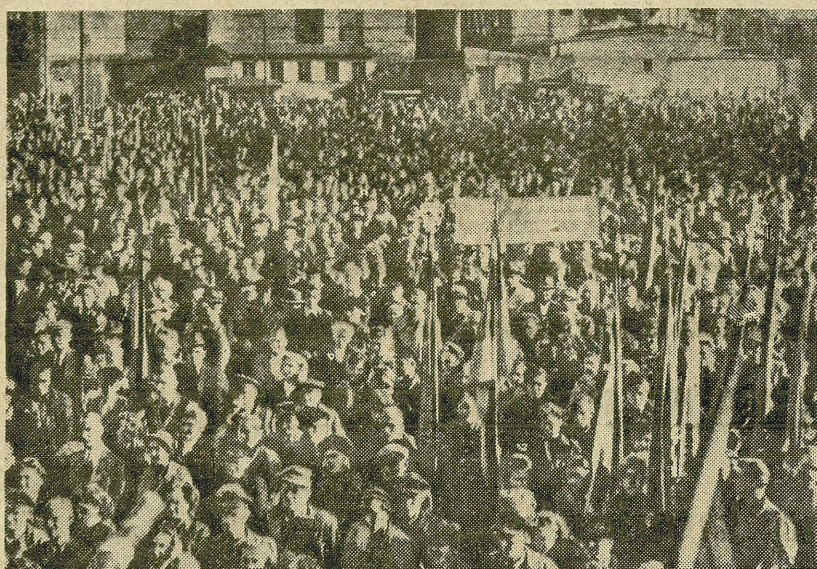
OTO, co dziś na Wschodzie i Zachodzie wszystkich jednako pochłania, co wytwarza ową szczególną, napiętą atmosferę, jaka we wszystkich częściach naszego kraju daje się odczuwać, co znajduje wyraz w prasie, zarówno po naszej jak i tamtej stronie, w oświadczeniach polityków... Wszyscy mówią o tym, wszyscy o tym myślą. Stoimy przed wyborem: co mamy uczynić? Na jaką drogę się zdecydować? Szybko, szybko musimy się zdecydować — pisze wybitny postępowy pisarz demokratyczny Niemiec Bodo Uhse — bo rozbite Niemcy zdają sobie sprawę, że w tym rozdarciu leży śmiertelne niebezpieczeństwo. I tylko w żarliwie jednoczących ukladach odnajdziemy się jako naród.

A przecież na rozmowach nie można poprzestać. Rozmowy muszą nas prowadzić dalej do czynu, gdyż jest to chwila, kiedy musimy zdecydować, zanim nie będzie za późno... Stoimy przed wyborem, przed wyborem między śmiercią a życiem, między samounicestwieniem się, a utrzymaniem przy życiu, między wojną bratobójczą, a pokojem między narodami.

Siedem lat dopiero minęło od zakończenia wojny, która groza swych nocy pełnych bomb, potwornym zniszczeniem i milionami poległych zmieniła na naszym narodzie cywilizację państwa Hitlera, a już Adenauer Bogu dziękuję, że mocą układów waszyngtońskich Niemcy z powrotem zostały wybrane na pole bitwy, że nasze miasta w proch mają się rozpadać, że o toczą się groby masowe młodzieży i wszelkiej nadziei jaka pozostała jeszcze przy niemieckim człowieku.

Z cieni zburzenia, na których zginąć powinni, aby raz wreszcie świat i naród niemiecki uwolnił się od nich, wypelzają generałowie Hitlera na światło amerykańskiego stołka dolarowego. I z tym samym zapalem, z jakim pod swoją komendą prowadził Niemców w mrok, w mękę, na śmierć, znowu są gotowi teraz, na rozkaz amerykańskich generałów, popędzić Niemców na wschód, tzn. na pole bitwy przeciw własnym braciom.

Czy po tym wszystkim, cośmy przeżyli i przecierpeli w minionych latach, może istnieć jeden choćby człowiek, który nie widziałby, co to oznacza? Czy może istnieć jedna niemiecka matka, która by nie wiedziała, że mandur, który wkłada jej syn, będzie jego śmiertelną kosa? Czy znajdzie się Niemiec, który nie jest mocno przekonany o tym, że nowa wojna toczy się na niemieckiej ziemi?



przyniesie koniec, koniec biologiczny niemieckiego narodu?

Nie, my wszyscy, po tej i po tamtej stronie, na wschodzie i na zachodzie wiemy, że udział w grze waszyngtońskich meżów, generałów i bankierów wciąga w nią samo istnienie niemieckiego narodu. Nie chcemy wojny. Tu i tam, na wschodzie i na zachodzie, w Niemieckiej Republice Demokratycznej i na Związkuwym Teritorium Bonn — naród nie chce wojny. Ale ta dobra, uczciwa i szczerą naszą wola musi znaleźć swój wyraz. Musimy przybrać twórczą postać i taką formę polityczną, dzięki której przebiją się i zwyciężą.

„Neues Deutschland”, centralny dziennik Niemieckiej Republiki Demokratycznej objaśnia: „Układ ogólny pogłębił rozbiście Niemiec i wciągnął Niemcy Zachodnie w jarzmo amerykańskiego imperializmu. Oznacza to rezygnację Niemiec z suwerennych praw narodu, uwieczniałoby to okupację amerykańską i uczyniło z Niemiec bazę militarną dla amerykańskich oddziałów interwencyjnych. W myśl układu ogólnego Niemcy Zachodnie mają wstrzymać się od wszelkich działań politycznych, które mogłyby doprowadzić do utworzenia w Niemczech Zachodnich dyktatury wojskowej”.

Doskonale zdają sobie z tego sprawę w zachodnich strefach Niemiec. Dlatego właśnie nieprzerwanie toczy się tam walka o traktat pokojowy... „aby w jak najkrótszym czasie przeprowadzić ogólny — niemiecki wybory. Tutaj przede

wszystkimi sami Niemcy muszą chwycić inicjatywę w swoje ręce” — domagała się zachodnio-niemiecka gazeta „Badische Echo” kilka tygodni temu.

Warto zapamiętać list katolika z Zachodnich Niemiec, dr. Hansa Textora. Odzwierciedla on postawę przeciwnego liberala niemieckiego, nie umiającego się jeszcze zdobyć na postępowy światopogląd, ale zdającego sobie sprawę ze strasznego niebezpieczeństwa. List został skierowany do redakcji postępowego czasopisma „Die Weltbühne”, ukazującego się w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Oto, co pisze przemysłowiec z Mindelheim: po powrocie z podróży do NRD:

„Socjalne osiągnięcia NRD, jej społeczne i gospodarcze cele wywarły na mnie olbrzymie wrażenie, ponieważ widziałem w nich realizację tych idei, jakie sam starałem się rozpowszechniać drogą społeczno-politycznych odczytów, nie znając jeszcze gospodarczej sytuacji na wschodzie. Imponuje mi fakt, że tam idee uciela się w życie, nie tak jak u nas, gdzie znaczna część kleru nie myśli o tym, aby samemu realizować praktycznie naukę o miłości bliźniego.

Przed kilku miesiącami byłem w Rzymie i widziałem nędzę, uwalającą o pomstę do nieba pod murami Watykanu.

„Uznawać dalej całkowicie skromponowy system, jaki reprezentuje anglosaski kapitalizm, oznaczałoby dla nas, myślących, katolickich ekonomistów ciężki grzech. Bo czyż nie jest grzechem, kiedy w dalszym ciągu dopuszczamy, aby dzień w dzień ludność popielniała samobójstwem z ne-

dy, aby miliony żyjące poniżej minimum egzystencji załamywały się psychicznie, dochodząc do upadku moralnego? Tolerowanie dotychczasowego systemu gospodarczego oznaczałoby podżeganie się do wojny, wywołany nadprodukcją w przemyśle i bezplanowością kapitalistycznej gospodarki.

Piszę o tym do was, aby jasno powiedzieć że ja, świadomy chrześcijanin i katolik stoję w szeregach przyjaciół pokoju i z chrześcijańskiej tęsknoty za prawdą wszędzie, gdzie mogę szerzyć prawdę o Związku Radzieckim”. (Rhein Necker-Zeitung).

Napór opinii publicznej w Niemczech Zachodnich jest tak silny, że znajduje choć częściowy wyraz w tamtejszej prasie.

„Od mocarstw zachodnich zależy, aby w interesie utrzymania pokoju światowego i zjednoczenia Niemiec wykorzystać każdą możliwość osiągnięcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim”. (Rhein Necker-Zeitung).

„Naturalnie trzeba paktować. Pokój jest wielką wartością. Pokój, bezcenny pokój można utrzymać drogą porozumienia ze Związkiem Radzieckim. I to jest jedna z podstawowych prawd naszej epoki... Nie ma argumentu przeciw wspólnym rozmowom, wszystko przemawia za nimi...” (Frankfurter Heft).

Bo... „Nas nikt nie zmusi do przyjęcia układu ogólnego — wołają tłumy strajkujących niedawno w Hamburgu robotników — ta demonstracja to dopiero wstęp do nowych bojowych środków naszej walki przeciwko polityce Adenauera!”.

Z demonstracji w Kilonii, na kraj cały rozległ się głos Heinz Mayera: „To jest dopiero mój przedsmak układu ogólnego. Skończyć by niewątpliwie chcieli na tym, że każdy strajk będzie uważany za zdradę kraju, jeżeli... nie chwycimy wspólnie za broń”.

P.S. Kończąc pisanie szkicu, włączam odbiornik radiowy i słyszę głos speakera:

Z Bonn donoszą, że Bundestag (tj. wyższa izba parlamentu niemieckiego) powołał jednogłośnie uchwałę, w której uchwalił stanowisko Adenauera — stwierdza, iż ratyfikacja „układu ogólnego” i układu w sprawie „armii europejskiej” nie może nabrać mocy prawnej bez zgody Bundestagu i wyraża wątpliwość, czy układy są zgodne z konstytucją.

Uchwała spowodowała odroczenie terminu rozstrzygnięcia ratyfikacji na dłuższy czas. W kołach politycznych uważa się ją za dowód niezwykle silnego nacisku opinii publicznej.

Zofia Rudzka

własnej nielicznej klikki, wpędzić świat w katastrofę trzeciej wojny światowej.

Czynnikami te usiłują dla swych celów z całą świadomością zachować w Niemczech Zachodnich ciągły stan wojny. Dlatego właśnie nadal podtrzymują sztucznie problem przesiedleńców, zapobiegając jego rozładowaniu, przeciwstawiając się naturalnemu dążeniu tego elementu do zespolenia się z ludnością miejscową. Baraki, fatalne warunki egzystencji, wszystko to ma ułatwiać szerzenie hasel rewizjonistycznych i odwrotnych wśród ludzi, w których imperialiści niemieccy upatrują jedną z głównych swych baz operacyjnych, a przede wszystkim materiał rekrutacyjny dla tworzenia Wehrmachtu.

Taka jest linia rozwojowa wytknięta Niemcom Zachodnim przez amerykański kapital monopolistyczny, a realizowana przez zależne od niego Niemce niemieckie. Operując się na metodach policyjnych rządzenia i na stwarzaniu faktów dokonanych, imperialiści niemieccy szukają jednak zarazem oparcia społecznego. Ale argumentacja ich, argumentacja odwetu i nowych zachorów, trafia jedynie do tych, którzy stanowią trzon NSDAP oraz do pewnego odłamu wspomnianych już przesiedleńców. Olbrzymia większość społeczeństwa pragnie jak najszybszego przywrócenia jednolitości Niemiec i utworzenia ogólnoniemieckiego rządu, który zapewniłby trwały pokój. Pragnie podpisania traktatu pokojowego, a tym samym przywrócenia narodowi niemieckiemu pełnej suwerenności i równoprawności, zapewnienia narzeczonych wycofania wojsk okupacyjnych, położenia kresu obcej ingerencji w gospodarkę i polityczną zagadnienie Niemiec, stworzenia podstawy do samostanowienia narodu niemieckiego we wszystkich zagadnieniach politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Pragnienia te znalazły pełne zrozumienie i poparcie w notach radzieckich z 10 marca, 9 kwietnia i 24 maja 1952, które ukazały konkretną możliwość realizacji celów wytkniętych przez wszystkie siły narodowe w Niemczech walczące o jednolność, niezależność, demokrację i pokój. Czas nieodparcie działa na ich rzecz. Stąd ciągle wysiłki Adenauera, zmierzające do zaskakowania własnego społeczeństwa, stąd coraz wyraźniej zarysowująca się sytuacja rządzenia bez narodu i przeciw narodowi. Sytuacja, której niełaskawo rozumie nawet sam Adenauer.

Antoni Stan

Sprawa niemiecka

JULIAN STAWIŃSKI

„CHATA WUJA TOMA”

(w setną rocznicę wydania)

PRAWDZIWIE niezwykle to widok. Ludzie skaczą sobie do oczu, gotowi nieledwie zabijać się nawzajem. I rozchwytają książkę, zarówno wówczas, gdy widzą w niej niczym drugą Biblię, jak i wtedy, gdy jej autorkę najchętniej by wraz z jej dziełem powiedli na stos.

Stowa te, zapisane równo sto lat temu przez jednego z nielicznych „obojetnych”, dotyczą książki, której los był istotnie niezwykle: obiegła cały świat, zapłodziła niejedną rewolucyjną ideę, wbrew przewidywaniom pisarki, we własnej jej ojczyźnie stała się znów palącą aktualną; 20 marca 1852 r. ukazało się pierwsze wydanie „Chaty Wujka Toma” Harriet Beecher-Stowe.

Któż nie pamięta z dzieciństwa tej książki? Dziejów starego Murzyna, który — mówiąc stylem epoki — za wszystkie skarby swego wielkiego, przepięknego, miłością dla ludzi serca, za życie — jedno pasmo wyrzecz i ciężkiej pracy, doczekał się śmierci z rąk białego, właściciela niewolników, „Chaty Wujka Toma” była pierwszą lekturą wielu pokoleń, które poznały z niej prawdę o życiu na amerykańskich plantacjach bawełny, prawdę o niewolnictwie — tym najpiękniejszemu z wielu systemów wyzisku — człowieka przez człowieka. Prawdę bijącą z każdej karty powieści, mimo jej braku — naiwny sentymentalizm i jeszcze bardziej naiwną chęć przemówienia — jak pisze Harriet Stowe — „do słabości serca i umysłów ludzi Poludnia”, czyli plantatorów.

Osiemnaście lat swej młodości przeżyła pisarka nad samą granicą stanów niewolniczych, nad rzeką Ohio, przez którą płynęła fala zbiegłych uchodźców z białego piekła, gdzie królują bawełna. Sama pomagała niejednemu i wiedziała wszystko o ich losie. Milczała jednak pokład nie nadszedł ustrasz ostateczny.

„Aż do tej chwili nie czułam się powołana do zabierania głosu. Myślę jednak, że nadszedł obecnie czas, kiedy nawet kobieta musi przemówić w obronę wolności i człowieczeństwa, gdy nad krajem naszym zawisła groźba hańby gorzej niż niewola egipska”. Na list pani Stowe wydawca antyniewolniczego tygodnika „National Era” zaproponował dość znanej już autorce zamieszczenie w czterech odcinkach obrazka z życia Murzyna, malującego grozę niewolnictwa. Było to ukrótkie po uchwaleń przez Kongres, w którym rozdzili plantatorów, Ustawy o Zbiegłych Niewolnikach. Po wszystkich stanach „wolnych” rozpoczęły się łowy na Murzyna uchodzących masowo z plantacji na Północ. Tam wzburzenie było wielkie. Kiedy w Bostonie aresztowano 17-letniego Thomasa Simsa, zbiegłego ze stanu Georgia, „rozprawa” odbywała się pod osłoną dwóch kompanii milicji. A gdy chłopca odprowadzano na parowiec, wiozący go na Północ — eskortowało go trzysto policjantów.

Wreszcie w szerokich kołach opinii było bez kwestii szczere. Ale poparcie jakiegoś mu udzielała burżuazja stanów północnych, miała swą niemiłą wyrażną wymowę gospodarczą. Rozwijający się w tym czasie kapitalizm gromadził siły do ostatecznej rozprawy ze stojącym na jego drodze feudalizmem, który poległ swoją opieral własnie na niewolnictwie. Ale i burżuazja nie przeżywała, że iskra pada na beczkę prochu.

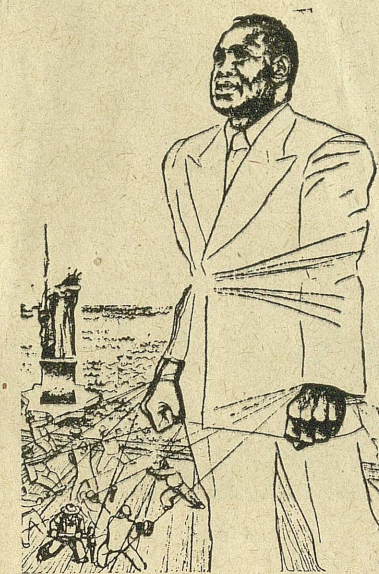
Cztery odcinki w „National Era” urosły do czterdziestu: domagała się tego gwałtownie publiczność, a „obrazek” pod piórem pani Stowe olbrzymiał w rozległe malowidło. Powieść była na ustach wszystkich. Zaczęło się szukanie wydawcy. Jednakże ci, do których się zwracano, orzekli, iż mimo rozgłosu utworu nigdy nie sprzedają nawet tysiąca egzemplarzy; ponadto każda firma była siłą stracić klientelę z Poludnia. Wreszcie znalazła się rada. Odcinki wywarły wielkie wrażenie na pani Jewett, żonie małego wydawcy bostońskiego, zajmującego się drukiem broszur z gatunku „poradników praktycznych”. Pan Jewett zgodził się zająć nakładem pod warunkiem pokrycia połowy kosztów przez autorkę. Ustalono wysokość nakładu na 5.000 i wkrótce potem wyszły w świat pierwsze egzemplarze.

I tu rozpoczęły się dziwne. Pierwsze wydanie publiczność rozkupiła w ciągu dwóch dni. Do końca roku sprzedano trzysta tysięcy. Ukazały się wydania „dzikie”, kompilowane piosenki, przerabiano powieść na scenę. Przedsiębiorcy robili majątki na „grach towarzyskich”, osnuty na fabule „Chaty Wujka Toma”. W Anglii w ciągu jednego roku poszło milion egzemplarzy, królowa Wiktoria roniła łzy nad losem małej Ewy. A co ważniejsze, ogólne i gorące potępienie niewolnictwa w opinii angielskiej upełniło dzieł wkrótce na postawie Wielkiej Brytanii wobec wojny domowej w USA.

Zjawili się przekłady. W Rosji rewolucyjni demokraci wykorzystali powieść do walki z pańszczyzną, a redagowany przez Czernyszewskiego „Sowremiennik” rozszalał jak cytylnikom jako dodatek. Polscy przekład ukazał się już po uwolnieniu i zyskał sobie wielką popularność, lecz jako książka dla dzieci.

Oszałamiające powodzenie książki wywołało szybko kontratak plantatorów. Posypały się artykuły w

prasie, listy z pogroźkami, niejaka Mary Eastman napisała powieść „Chata Ciotki Filis”, malując życie niewolników w tak różowych barwach, że nowojorski recenzent poradził jej, by sprzedała swe dzieci handlarzom żywego towaru. Wynik tej całej akcji był dla jej twórców niewesoły: Beecher-Stowe odpowiedziała na ogłoszenie „Klucza do Chaty Wujka Toma” — zbioru miazdzących dokumentów. Ukazały rzeczywistość tę samą co w książce, lecz odartą z tagodzących sentymentalnych półtonów, surową i groźną. Wuj Tom w powieści wybaczył swemu mordercy. Teraz się



okazało, że wybaczanie nie wolno. Gdy przyszła wojna domowa, wojna o zniesienie niewolnictwa, Beecher-Stowe jedna z pierwszych domagała się całkowitego wyzwolenia Murzyna. Jej powieść, nazwana przez Lincolna „książką, która sprawiła wojnę”, przygotowała i urobila opinię.

„Przyjdzie czas — pisała Harriet Stowe w przedmowie do książki — kiedy zło opisane tutaj należeć będzie do bezpamiętnej przeszłości, a szkice podobne do tych będą mieć wartość tylko jako wspomnienie o czymś co dawno przestało już istnieć”. Nie przewidziała i nie mogła przewidzieć, że sto lat później, szereg kreślonych przez nią obrazów nabierze nowej, straszliwej aktualności. Gdy w jej powieści jeden z plantatorów oświadcza: „Jestem w wolnym kraju, mój panie; ten ten człowiek do mnie należy i mogę z nim zrobić co mi się podoba” — słyszymy język jakim rozbrzmiewa Ameryka Trumanem.

Z tym tylko, że Trumanowska Ameryka poszła dalej: od niewolnictwa do ludobójstwa. I eksportuje ten potworny towar do Azji, Afryki — gdziekolwiek sięgnie jej ramię. Jesienią zeszłego roku szereg zreszczeń murzynskich w USA przedłożyło Organizacji Narodów Zjednoczonych petycję, w której oficjalnie oskarżają rząd USA o ludobójstwo, przewidziane art. 11 Konwencji międzynarodowej z 11 grudnia 1948 r., a popełniane na ludność murzynskiej Stanów Zjednoczonych. Catość ustraszającego aktu oskarżenia obejmuje 200 stron dokumentów, a każda ocieka krwią. Nie sposób tego streszczać. Sięgniemy jednak do wstępu:

„Przedkładamy dowody nieodparcie świadczące o mordowaniu nas z pogwałceniem Konwencji przez policję i nastane bandy, mordowaniu po nocy przez osobników w maskach, przez Ku Klux Klan, upoważniony do tego z urzędu przez szereg stanów, posługujących się tą organizacją jako półoficjalnym narzędnikiem władzy. Przedkładamy dowody śmierci tysięcy Murzyna zakamarkach w zakamarkach biur szeryfów, w celach więziennych i aresztach policyjnych, a nawet na ulicach miast, tysięcy Murzyna ujętych i zamordowanych przy zachowaniu pozorów legalności za uśmierzanie oddania głosu, lub inną próbę uczynienia głosu, lub najprostszymi praw obywatelskich...”

Przedkładamy dowody ludobójstwa ekonomicznego lub, mówiąc słowami Konwencji, „świadomego narzucania tej grupie ludności warunków życiowych, prowadzących do jej wyniszczenia”. Przedkładamy dowody ludobójstwa, do którego podlega się jawnie i otwarcie przez radio, do którego nawołują senatorzy i gubernatorzy, potężne organizacje polityczne i wpływowe dzienniki...

Nie ma już dzisiaj miasta, od New Yorku po Cleveland i Detroit, od Chicago po Waszyngton, Los Angeles i New Orleans, które nie byłoby szanowane świadomością mordowaniem Murzyna... Pragniemy, by Zgromadzenie Ogólne ONZ wiedziało o zamordowaniu przez sady Willie McGee, zamordowaniu przez sądy dwójki dzieci straconych na krześle elektrycznym 5 maja 1947 roku na Natchez, o zamordowaniu Siedmiu z Martinsville, o Śześciu z Trenton, o poruczniku Gilbertcie, o rzezi we Freeport, o masakrze w Monroe...

Protestujemy przeciw temu jako Murzyni, protestujemy jako Amerykanie, przede wszystkim zaś protestujemy jako ludzie, którym odzwiera się praw ludzkich... My, którzy spustoszone wioski, spalono i ograbiono domy, wymordowano dzieci, gwałcono kobiety, z grozą widzimy, jak rasiści amerykańscy eksportują swoje doktryny i działania do ludów kolorowych w Azji i Afryce i ostrzegamy uroczystie, że

(Dokończenie na str. 7-iej)

ANTONI STAN

Próba odrodzenia imperializmu niemieckiego

PRZEKSZTAŁCENIE Niemiec Zachodnich w bastion amerykańskiej agresji, skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej, odbywa się przy wydajnej pomocy tych sił niemieckich, które nie mają żadnych skrupułów, aby dopuszczać się ponownej zdrady najwzrostszych interesów narodu niemieckiego. Są to te same siły, które dwadzieścia lat temu pod przewodem Thyssena, umożliwiły Hitlerowi zagarnięcie dyktatorskiej władzy i nie wahały się dla ziszczenia imperialistycznych planów rozpętać drugą wojnę światową. Są to zatem te najbardziej reakcyjne siły imperializmu niemieckiego, który pełną likwidację przewidują postanowienia Układu Poczdamskiego. Lecz amerykański kapital finansowy reaktywuje i popiera właśnie tych niemieckich imperialistów, czyniąc z nich swoich głównych sojuszników w Europie Zachodniej. Niemieccy potentaci finansowi i właściciele koncernów zamiast zasłużonych kar za popełnione zbrodnie wojenne, otrzymują pod protektorem amerykańskim intrygant i wpływy stanowiska, umożliwiające im odbudowę ich gospodarczej potęgi.

Odniesienie dawnych form koncentracji przemysłowej w zachodnio-niemieckim przemyśle doprowadziło znowu do tego, że pięć monopol kontroluje prawie że całą produkcję stali. Przemysł chemiczny został ponownie w całości oparty na przemysłach IG Farben. Cztery firmy przemysłu samochodowego produkują ponad 80% wszystkich samochodów. Trzy instytucje kredytowe, które przejęły funkcje trzech dawnych banków monopolistycznych: Deutsche Bank, Dresdner Bank i Commerbank, decydują o 55% wszystkich kredytów, przyznawanych przez 337 banków istniejących obecnie w Niemczech Zachodnich.

Pozostawienie wbrew wyraźnym postanowieniom Układu Poczdamskiego monopolom niemieckim ich dawnych pozycji gospodarczych, doprowadziło do zagarnięcia przez nich również władzy politycznej. Odbudowa i koncentracja pozycji gospodarczych w ręku byłych faszystowskich podległych wojennych doprowadziła do koncentracji władzy politycznej w ich ręce. Patronuje im Adenauer, powierzony z szeregiem monopolistycznych zakładów przemysłowych, wspierany w zakresie polityki wewnętrznej przez ministra spraw wewnętrznych Hitlera Leha. W partiach politycznych, popierających rząd Adenauera, grają decydującą rolę w CDU bankier Pfendmenges i dyrektor

Henle z koncernu Klöcknera, a w FDP przewodniczący tej frakcji parlamentarnej poseł A. Euler, reprezentujący interesy przemysłu chemicznego.

Niemiecki kapital finansowy odzyskał jednak nie tylko swoje wpływy i pozycje wewnętrzne w Niemczech Zachodnich, lecz jest również w trakcie zdobywania sobie znaczenia w międzynarodowym obłocie imperialistycznym, co pogłębia sprzeczności wewnętrzne tego obłotu. Uwidacznia się to w szczególności w ekspansji kapitalowej, charakterystycznym objawie dla końcowego stadium imperializmu. Szerok przemysłowy, przede wszystkim chemiczny, elektryczny i samochodowy przystąpił bądź to do zakładania swoich filii w szeregu krajów, bądź też nabywają udziały w przedsiębiorstwach zagranicznych. W tej ekspansji zagranicznej niemieckich monopolu uczestniczą czołowe firmy monopolowe, jak Bayer-Werke, Mannesmann, Krupp, Gutehoffnungshütte, Henschel, AEG, Siemens, Autounion, wszystkie koncerny znane ze swej działalności z zakresu przygotowywania drugiej wojny światowej. Swoją działalnością objęły w szczególności Afrykę, gdzie monopol amerykański rozbudowują bazy przemysłu zbrojennego dla trzeciej wojny światowej. Przenikają do Hiszpanii i krajów Ameryki Południowej, w których monopolom niemieckim ułatwiają penetrację rządy faszystowskie. Wreszcie dokonują inwestycji przemysłowych w Pakistanie i Indiach, pozostających nadal w wielkiej zależności od anglo-amerykańskich monopolistów, uprawiających politykę kolonialną.

Ekspansja niemieckiego kapitalu finansowego następuje z jawną szkoda ludności i gospodarki niemieckiej. Podczas gdy we znaki daje się brak kapitalu inwestycyjnych na budownictwo mieszkaniowe, gdy jeszcze miliony ludzi w Niemczech Zachodnich zmuszeni są, w warunkach przeczących najprymitywniejszym potrzebom, gnieździć się w barakach i powojennych bunkrach, gdy brak jest pokrycia dla najpotrzebniejszych inwestycji w górnictwie i szeregu przemysłach, ma miejsce lokowanie niemieckich kapitalów zagranicą. Następuje to przede wszystkim w celach zbrojennych, nie licząc się z rzeczywistymi potrzebami narodu niemieckiego.

Niemieckie banki monopolowe odbudowują swoją dawną sieć filii zagranicznych, co ułatwia penetrację niemieckiego kapitalu finansowego. Państwa zachodnie przygotowują

zwrot zagranicznej własności niemieckich monopolu, które potrafiły zachować około dwóch trzecich swego przedwojennego zagranicznego stanu posiadania. Ta zgoda na eksport kapitalu przez monopol niemiecki, jak również ich udział w międzynarodowych porozumieniach monopolistycznych jest dalszym dowodem odbudowy dawnych pozycji gospodarczych i politycznych przez władze niemieckich koncernów i trustów. Takich międzynarodowych porozumień, w których biorą udział monopol niemiecki, zawarto ostatnio cały szereg w przemysłach: chemicznym, budowy maszyn i elektrotechnicznym. Celem ich jest podział surowców i rynków zbytu między poszczególne monopolom i oraz chęć podwyższenia cen. W Europie Zachodniej monopol niemiecki wysuwają się więc pod patronatem monopolu amerykańskiego, jako ich główny, lecz zależny partner, na pierwsze miejsce.

Nowym etapem w rozwoju międzynarodowych monopolistycznych organizacji jest „Europejska Unia Górnictwa i Hutnictwa”, obejmująca sześć krajów zachodnio-europejskich z największą produkcją stali i wydobyciem węgla. Celem tej Unii Górnictwa i Hutnictwa jest nie tylko monopolistyczne ujęcie produkcji i zbytu przemysłu górnictwa i hutniczego w krajach zjednoczonych w Unii, lecz wyjęcie tych przemysłów spod kontroli własnych władz państwowych i podporządkowanie ich władzy Unii Górnictwa i Hutnictwa. Monopolom niemieckim przeznaczono i tutaj zasadnicze wpływy.

Oczywiście, że odnowienie imperializmu niemieckiego jest podyktowane chęcią jak najprędszego przeobrażenia remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i włączenia ich do agresywnego bloku Północnego Paktu Atlantyckiego. Polityka ta służy jedynie interesom monopolistów i jest polityką zdrady żywotnych interesów narodu niemieckiego. Wciąż Niemcy Zachodnie do rozrywki międzynarodowego kapitalu monopolistycznego (pogłębia imperialistyczne sprzeczności), utrwała podział Niemiec i prowadzi na linii porzucenia wywołania trzeciej wojny światowej.

Ta polityka zdrady interesów narodu niemieckiego znajduje w Niemczech poparcie tylko takich sił, które nie wahały się podporządkować narodu niemieckiego interesom amerykańskim, których nie odstrasza nawet perspektywa bratobójczej walki Niemców z Niemcami. Są to te same siły, które rozpętały drugą wojnę światową i które gotowe są, dla zabezpieczenia interesów swej

JADWIGA PIETRUSIEWICZOWA

NAD WIERSZAMI JANA Z CZARNOLASU



Jan Kochanowski

O D czasów, w których żył i tworzył Jan z Czarnolasu, zleci nas czterysta lat, ale dziś jeszcze wiersze tego największego poety polskiego Renesansu są dla nas żywe i piękne. Wyszły one spod pióra szlachcica reprezentującego ideał, a postępowego odmiotu swej klasy, wyrażającego te poglądy i tendencje szlacheckiego obozu reform, które były zgodne z interesami narodu. Niektóre z nich powstały w cieniu królewskich i magnackich konnat, inne w zaciszu szlacheckiego dworku, ale jedno i drugie śmiało przełamały klasowe bariery, zdobyły szeroki krąg czytelników, dotarły do plebsu. Czytali je, podziwiali i naśladowali plebejscy poeci mieszczański pierwszej połowy XVII wieku, reprezentujący obok arian najbardziej postępowy nurt ówczesnej literatury, zwrócono się do Kochanowskiego w dobie Oświecenia, gdy literatura polska dźwigała się z upadku, podziw dla jego twórczości, dla piękna jego poetyckiego języka wyrażali nasi najwybitniejsi poeci romantycy. Burżuazyjna nauka o literaturze usiłowała sprepować sylwetkę poety dla swoich celów, oddać jego twórczość w służbę własnej ideologii. Ale pisarstwo Kochanowskiego służyło zawsze narodowej sprawie i wszelkie usiłowania, zmierzające do zafalszowania stanowiska ideologicznego poety spęły na niczym. Kochanowski żyje ciągle wśród nas, żyje nie tylko w szczytnym gronie znawców i miłośników poezji staropolskiej, ale także w szerokich masach narodu, pielęgnujących swe postępowe tradycje. Wymownym tego dowodem była ostatnia uroczystość w Czarnolesie, która ścigała tłumy ludzi z okolicznych wsi i pobliskich miast, przedstawicieli nauki, sztuki i literatury, chłopów, ro-

botników i pracującej inteligencji. Wymownym tego dowodem jest szczególnie, pietyzm, jakim chłop z Czarnolasu otaczał i sam dwór (choć on nie z XVI wieku) i piękny park, w którym stare lipy szumiały tak samo, jak wówczas, gdy poeta w ich cieniu cieszył się pięknem i radością życia, gdy uczu- ciom swoim nadawał artystyczny kształt, tworząc narodową poezję.

W ciekawych czasach żył i tworzył Jan Kochanowski, jego twórczość przypada bowiem na okres najbujniejszego rozwoju polskiej kultury renesansowej. Dzieckiem był jesiennie, gdy szlachta zebrana na sejmiku w Srodzie śmiało sformułowała swoje zarzuty pod adresem kosmopolitycznego kleru i swoje żądania literatury w języku narodowym: „Aby nam księża nie bronili imprymować po polsku historii, kronik, praw naszych i też innych rzeczy... Albowiem każ- zać sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają być naszym językiem? Tu też wielka nam się krzywda widzi od księży, albowiem każdy naród ma swym językiem pi- sma, a nam księża każą głupimi być”. Literatura w języku narodo- wym ma być teraz orężem w walce ze stanowiskiem kleru w państwie, z jego wpływami politycznymi, z propagandą przezeń, a obcą narodo- wi, kosmopolityczną kulturą, z wpajaniem w masę średniowiecznym światopoglądem. Śmiało podjęli tę walkę pisarze szlacheccy tacy jak Marcin Bielski i Mikołaj Rej, ale, choć usługi ich są wielkie, nie mie- rzyć im się z Janem Kochanowskim, któremu przynależało miejsce, mia- no, twórcy narodowej poezji polskiej, twórcy polskiego języka poetyckie- go. Jego twórczość odegrała w to- czącej się walce olbrzymią rolę, pro- pagowała bowiem nowy, renesanso- wy pogląd na świat, głosiła szczyt- ne, humanistyczne ideały. Dla Ko- chanowskiego przedmiotem zainte- resowania jest przede wszystkim człowiek i jego ludzkie, ziemskie sprawy. Tym humanizmem przesy- coną są wszystkie wiersze Kocha- nowskiego, nawet jego słynny „Hymn do Boga”, nawet przekład „Psalterza”. Ten humanizm ułatwia mu zerwanie ze średniowieczną ide- ologią, wyzwolenie się z pęt misty- cyzmu i dewocji. Sam poeta w jed- nej z pieśni doskonale wyraża swój pogląd na te sprawy.

„Nie umiem ja, gdy w żagle Uderzą wiatry nagłe

Krzyżem padać i świętych prze- najdować dary...”

Kochanowski wolny od średniowie- cznego sposobu myślenia tym pew- nie głosi prawo do wyrażania oso- bistych, najbardziej ludzkich uczuć i radości i smutku, uczuć miłości i przyjaźni, do wyrażania poglądów na sprawy państwowe, żywego rea-

gowania na aktualne wydarzenia. Uderza w tych wszystkich wierszach głęboka prawda przeżyć i głęboka prawda artystycznego wyrażu. Szczytowym osiągnięciem są tu nie- wątpliwie „Treny”, w których prze- mija realizm, z jakim poeta przed- stawia uczucia osieroconego ojca. Poeta humanista pisze te żale na- grobne nie z powodu zgonu jakiegoś wybitnej osobistości, nie na cześć mecenasa, czy kogoś z jego „dziny”, aby pozyskać sobie względy moż- nych, ale śmiało gwałci prawa po- zno - renesansowej poetyki i pisze wiersze o ukochanym, małym dzie- cu, pisze z głębi żłobatego ojcow- skiego serca. Nie oglądając się na to, jak one będą przyjęte. Broni Kocha- nowski: w ten sposób prawa do oso- bistych uczuć zwykłego człowieka i już to samo decyduje o wartości „Trenów”. I jeszcze jedno: w „Tre- nach” śmiało sięga poeta do poezji ludowej, do pieśni gminnej, której motywy artystycznie przetworzone i podniesione na wyżyny prawdzi- wej sztuki śmiało wpłata w poszcze- gólne wiersze cyklu. Nawiazuje tu Kochanowski do najświetniejszych tradycji europejskiego renesansu, który we Włoszech i na Zachodzie w pierwszej fazie swego rozwoju na- wiazywał do rodzimej ludowej twó- rczości i w oparciu o nią tworzył na- rodową literaturę. Nie pierwszy to

JAN KOCHANOWSKI

P I E Ś Ń V I I

Słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie,

Świata nie znać w kurzawie;

Rzeki dnem ulekaają,

A zagorzałe ziola dżdża z nieba wołają.

Dzieci, z flagą do studniej; a stół w cień lipowy,

Gdzie gospodarskiej głowy

Od gorącego lata

Broni list, za wśsadzenie przyjemna zapłata.

Luźni moja, ty ze mną; bo twe wdzięczne strony

Cieszą umysł trapiiony,

A troski nieuśpione

Prędkim wiatrom podają za morze czerwone.

Z „S O B Ó T K I”

PANNA II:

To moja najwziętsza wada,

Ze tańcuje bardzo rada;

Powiedzieć mi, me sąsiady,

Jest tu która bez tej wady?

Wszystki mi się uśmiechacie,

Podobno ze mną trzymacie;

Postępujmy tedy krokiem,

Aleć niemasz, jako skokiem.

Skokiem tańce nasadniejszy

A tem jeszcze pochodniejszy,

Kiedy w beben przybijają,

Samy nogi prawie drgają.

Teraz masz czas, umiesz-li co,

Mój nadobny bębenku!

Wszystka tu wieś siedzi wkoła,

A w pośrodku same czolo.

Zeby też tu ta nie była,

w twórczości Kochanowskiego fakt korzystania z motywów ludowych. Wcześniej można to spotkać w „Pie- śni świętojańskiej o Sobótce”. Jest to jeden z pierwszych utworów, któ- re powstały w zaciszu czarnoleskim, z dala od intryg i zgłębku dworu. Nie- omylny instynkt kieruje kroki poe- ty ku źródłom najczystszej poezji — ku pieśniom i zwyczajom ludowym. Zapewne „Pieśń świętojańska o Sobótce” stwarza właściwie mit wsi, która wówczas nie była ani tak „spo- kojna” ani „wesola”. Lud ukazany tu jest w jakiejś rzadkiej na pańskim, feudalnym folwarku, dniu odpoc- zynku i zabawy, a więc w sytuacji nie najbardziej typowej dla całos- kształtu życia pańszczyźnianego chłopca, ale ta zabawa ukazana jest prawdziwie, tematy pieśni poszcze- gólnych pańien wzięte z poezji ludo- wej, aczkolwiek, tak jak i w „Tre- nach” są artystycznie przetworzone. O czymże bowiem śpiewają dzie- czeta w „Sobótce”? O tańcu, o zar- tach i zabawach. Jedną niepokoi się, aby któraś z towarzyszących nie odbiła j-j chłopca, druga mieszka się żartobliwie, że „nie ma przed Szym- kiem pokoja” i kreśli sylwetkę mło- dego uwodziciela, zwracającego głowy wszystkim dziewczętom. Pan- na żali się, że ukochany poszedł na wojnę, niepokoi się o niego i prze- klina tych, którzy wojnę wymyślili.

Jakże prosto wyraża ona chęć póź- nia z ukochanym i dzielenia z nim wojennych trudów.

„Przynajmniej by mi w potrzebie Wolno stanąć wedle ciebie;

Przywykłych i ja zbroi,

Bodaj przepadł, kto się boi!”

Ten motyw spotykamy bardzo cze- sto w pieśniach ludowych i Kocha- nowski napewno, stamtąd go prze- jął, nie ujmując nic z prawdy i szczerości wyrażonych w nim uczuć. Ta prawda artystycznego wyrażu stanowi o trwałości wartości poezji Kochanowskiego. Jest to zresztą ce- cha wszystkich jego wierszy, które są wyrazem istotnych przeżyć poe- ty, a nie konwencji literackich. Uderza ona zarówno w pieśniach refleksyj- nych, w których poeta rozmyślał nad sensem życia rzuca na tło weso- łej biesiady, lub pięknego opisu przyrody, jak w pieśniach patrio- tycznych, wywołujących do poświę- cenia dla „pożytku dobra społeczne- go”, lub boleśnie obnażających szla- checką lekkomyślność i zaniedbanie obrony granic. I te wiersze nie utra- ciły nic ze swej świeżości — nie dziwnego, Kochanowski bowiem, choć sam szlachcic, choć krytykuje ówczesne stosunki z pozycji szla- checkich, przecież krytykuje tak stu- szenie, że i my dziś niektóre zarzuty pod adresem rzeczywistej szla- checkiej możemy wypowiadać sło- wami twórcy „Odpawy posłów greckich”. W tragedii tej skonstruo- wanej na wzór Eurypidesa i pozor- nie sięgającej do motywów antycz- nych Homerowego eposu ukazał poe- ta z całym realizmem ówczesne sto- sunki, dał jakby mały wycinek ów- czesnej rzeczywistości z typowymi sytuacjami i typowymi bohaterami. Relacja Posła z przebiegu narady u Priama mówi tak dużo o ówczesnych wojennych, że można nie sięgać do dia- riuszy i wiedzieć jak wyglądało prze- bywanie stronników, jak warchol- stwo zwyciężającego patriotyzm i zro- wa myśl polityczną. Ale i w tym dziele Kochanowski-humanista nie stracił z oczu człowieka. Ukazuje nam bowiem nie tylko ty- powego magnackiego pańca, zło- tem kupującego stronników, nie tyl- ko sejmowego warcholą szermujące- go demagogią, nie tylko patriotę stawiającego dobro państwa ponad osobistymi korzyściami, ale w dia- logu Heleny z Panią Starą ukazuje potoczne ludzkie, prywatne sprawy, które czynią tragedię jeszcze bar- dziej bliską i żywą, a nie pomniejs- zają jednocześnie wagi spraw ogół- nych.

Światopogląd poety znalazł na- prawdę pełny wyraz we „Frasz- kach”, w których obok niemal wszystkich cech zaobserwowanych w przytoczonych poprzednio utwo- rach, mamy jeszcze jedną, znanie- ną dla poety renesansowego, a więc

1 dla Kochanowskiego — humor. Na kartach wszystkich trzech ksiąg „Fraszek” rozbrzmiewa gromki śmiech. Budzą go zrzęzne, dowcipne epigramaty, układane może doryw- czo, aktualnie, przy biesiadnym sto- le, ale ostatecznie wykończone i uję- te w doskonały artystyczny kształt. Poeta śmieje się sam z tych świe- telników. Nie przerażało go to, że niektórzy sarkali potrosze na zbyt- nią dosadność wysłowienia. Odpo- wiada im żartobliwie, że

... ma być stateczny

Sam poeta; tym czasem ujdzie i wszeteczny!”

„Wszeteczność” rymów Kocha- nowskiego — godzi w obłudę i pes- uo-moralność cofającą się przed na- wianiem rzeczy po imieniu, ale nie cofającą się przed złości. Kocha- nowski tę obłudę doskonale demas- kuje.

„Pytano kaznodzieję: „Czemu to, pralacie;

Nie tak sami żywicie, jako nau- czacie?”

(A miał dom kucharkę); i rzecze

„Mój panie,

Kazaniu się nie dziwię, bo mam

pięset za nie,

A nie wziąłbych tysiąca, mogę to

zrecz śmiele,

Bych tak miał czynić, jako nau- czam w kościele”.

Również na kartach fraszek śmie- je się często poeta z urzędowych niejako przedstawicieli tej zakłama- nej moralności. Kaznodzieje, prala- ci, kapłani królewscy ba, nawet poe- tów papieski i sam papież są przed- miotem ostrej drwiny. Śmiech Ko- chanowskiego, podobnie jak u Ra- belaisa wyraża protest przeciwko ideologii kleru. Jednocześnie tutaj właśnie znajduje wyraz renesansowa radość życia. Źródła jej są bardzo różne: może to być biesiada z przy- jaciółmi, może piękno przyrody, mo- że wreszcie miłość, o której Kocha- nowski, twórca polskiego erotyku tak pięknie i prawdziwie pisał u- miął, jak nikt przed nim. I on tak żęcznie, jak nikt inny umiał mie- dzy te wiersze żartobliwe i miłosne wpleść refleksyjną zadumę nad to- kiem ludzkiego życia, dając tym wszystkim najpełniejsze świadec- two czasów, w jakich żył. Jego poe- zja uczy i wychowuje, dostarcza głębokich, artystycznych wrażeń, nie więc dziwnego, że uroczystość otwarcia Domu Kultury w Czarno- lesie ścigała prawdziwie tłumy go- ści. Spełniły się przewidywania poe- ty, który miał nadzieję, „że przed- się za laty, nie będą moje czułe no- cy bez zapłaty...”, bo to garna się do książek Kochanowskiego szerokie rzesze polskiego ludu, któremu Po- lska Ludowa zapewniła udział we wszystkich „dobrach” kulturalnych narodu. Jadwiga Pietrusiewiczowa

JERZY SKÓRNICKI

O L U D Z I A C H O D Z Y S K A N Y C H



Kazimierz Koźniewski

PIĄTKA z ulicy Barskiej” Kazimierza Koźniewskiego” to dobra i mądra książka pisarza, który wyszedłszy od powieści sensacyjnej („Szczotka do butów”) — przebył dobrą szkołę reportażu i powrócił znów do powie- ści, dając książkę o ileż głębszą od pozycji wyjściowej. Choć nie jest to zapewne jeszcze pełne wykorzystanie wszystkich możliwości, jakie daje pi- sarzom rzeczywistość naszych dni i realistyczna metoda pisarska, to jed- nak jest to przykład wiążący drogi ku niemu.

Już wstępne studia lektury książki Koźniewskiego pobudzają do posu- kowania analogii. Tematycznie mogą one iść w dwu kierunkach — jeden prowadzi ku odpowiednikom lita- rackiego odzwierciedlenia problematyki związanej z życiem naszej młod- dzieży, drugi zaś ku innej olbrzymiej i ogólnonarodowej sprawie, której na imię — Warszawa. Pierwsze i naj- łatwiejsze spostrzeżenie przychodzi na pamięć Igora Newerlego: jego „Archiwaleg ludzi odzyskanych”. Te- mat jest istotnie podobny. Wzrost dramatyczny książki Koźniewskie- go zawiera się bowiem w pytaniu, czy uda się odzyskać dla normalnego życia — któregoś z przedstawianych nieletnich wykończonych — ofiar mi- nionej wojny i jeśli tak — to któ- rego? Siegając głębiej, można odkryć za „Piątką z ulicy Barskiej” również i „Poemat pedagogiczny” Makareni-

nie chodzi tu o paralele literackie, ani tym bardziej o teorię wpływów, istotne jest w tych wyliczeniach świadectwo, ukazujące — jak głębo- kich i jak bardzo zasadniczych pro- blemów dotyka Koźniewski w swej nowej powieści.

Jest jeszcze jedna książka świeża i aktualna w pamięci czytelnika, której niesposób tu nie wymie- nić, mianowicie — „Pokolenie” Czeski. Korzenie konfliktów powieściowych „Piątki z ulicy Barskiej”, wyrasta- jące z przeszłości okupacyjnej, tym mocniej podkreślają głęboko ludz- kie walory bohaterów „Pokolenia”. Wspomnienie „Pokolenia” Bogdana Czeskiego jest konieczną antytezą w momencie podchwytywania genezy wydarzeń, jakie stały się udziałem „Piątki z ulicy Barskiej”. Powieść Czeskiego ukazuje, czym jest dla po- kolenia młodych powieść odkrycia siła słusznej idei; powieść Koźniew- skiego uczy, czym może grozić mło- dzieży brak tej siły.

Problem Warszawy, jej bogatego życia i odbudowy, równie aktualny dla powieści Koźniewskiego — nie daje jak dotąd tak szerokiego moż- liwości porównawczych, jak poprzedni. „Nowy mur” Hussarskiego, „Wczoraj i przedwczoraj” Maliszewskiego”, to zbyt niktłe świadectwo niedostatecz- nego jeszcze zainteresowania naszych pisarzy problematyką „stołeczno- warszawską”, by umożliwiły głębsze rozważania. Wystarczy jednak dla uprawnomożenia sądu to, że obraz Warszawy u Koźniewskiego jest prawdziwy i bardziej żywy, choć po- nad wszelką wątpliwość nie jest on w tej dziedzinie słowem ostatnim.

2.

„Piątką z ulicy Barskiej”, to kilku- miesięczne dzieje pięciu warszaw- skich chłopaków, otwierające się pro- cesem w sądzie dla nieletnich — chłopcy występują w nim w charak- terze podsądnych. Za kradzież papy z magazynu budowlanych zapada wyrok skazujący młodocianych zło- dziejaszków na pobyt w domu po- prawczym z dwuletnim zawiesz- niem. Chłopcy dostają urzędowego kuratora w osobie eks-nauceyckiel- ki — pani Majewskiej. Wyrok sądowy mimo posiadanych przez milicję i sądnego posłak, nie zdołał z braku dostatecznych dowodów odkryć in- nych sprawek młodocianej bandy. Wyrok ten nie zlikwidował sprawy najistotniejszej — bezpośredniej sprężyny popychającej młodych w kierunku złodziejskich ekscesów, choć źródło moralnych wypaczeń zostało trafnie uchwycone: poklo-

sie minionej wojny. Czas trwania dalszej akcji zawiera się między grudniem 1947 a letnimi miesiącami 1948 roku.

Piątką chłopców z ulicy Barskiej nie była tylko biernym bagażem przejmowanym przez nowe społe- czeństwo w spadku po bezprawach czasów okupacji. Zwichnięta wojen- nymi przeżyciami myśl chłopięca sta- ła się zerowiskiem politycznej reak- cji. „Piątką z ulicy Barskiej” była ekspozycja ukrytego w głębszych i ciemniejszych brudach przywódcy politycznego — rabusia, konspira- tora i szpiega, tajemniczego „szefa” — Zenona. Wyrok sądowy i państwowa kuratela postawiły ich twarzą w twarz z nową rzeczywistością i po- dały ich olbrzymiej regenerującej si- le tej rzeczywistości. W drugim i skomplikowanym procesie poczęt na- nich oddziaływać wychowawczy wpływ pracy, ale działająca w od- wrotnym kierunku siła nawyków, do- tychczasowej szkoły ideowo wychowawczej i bezcelnego szantażu utr-zymywali ich długo w zależności od rozkazów i poleceń zbrodniczego podziemia. Nic więc dziwnego, że kilkumiesięczne dzieje pięciu chłopaków z warszawskich roga- tek są tak pełne starć i konfliktów. Nic również dziwnego, że tego rodzaju sytuacja musiała nieuchron- nie prowadzić do starcia decydujące- go obu kierunków oddziaływania. Obraz tego starcia, przynoszący peł- ne moralne wyzwolenie trzem z piąt- ki i pełne — choć niezupełnie jasne — przesłanki odrodzenia czwartego — zamyka kartę powieści. Zwycię- zą w książce Koźniewskiego oddziaływa- nie żywotnych sił społeczeństwa, co- raz skuteczniej kierującego się ku budowaniu jasnej przyszłości, zwy- cieża siła ludowej rzeczywistości.

3.

Artystyczny walor powieści Koź- niewskiego wyznacza fakt, że zwy- cieża w niej fabuła i pełna prawda przedstawienia nad schematem.

Jest to powieść o całej piątce, a nie jednym tylko chłopaku z Ochoty, Mokotowa czy Czerniakowa. Ukaza- nie losów pięciu rówieśników, z któ- rych każdy nosi na sobie piętno ludz- kiej indywidualności, ułatwia pisa- rzowi budowanie zajmującej kon- strukcji wydarzeń. Z Markiem Ko- złem idziemy przecież na budowę Trasy i Mariensztatu, z Kazkiem Spo- kornym do pierwszej warszawskiej fabryki żarówek; mały niebieskooki Zbyszek Moczarski wprowadza nas w świat teatralnych realiów i doz-

nań, a nad wiek rozgarnięty Jacek Siwicki do redakcji warszawskiego dziennika — „retorty współczesnej rzeczywistości”, jak to określa Koź- niewski. Postać Lutka jest znówu zu- pełnie niepodobna do wszystkich po- zostających — poza nurtem współcze- snych wydarzeń występuje on na tle szkoły i swego paskarsko - handlar- skiego otoczenia. A jednak fabular- ny sukces powieści Koźniewskie- go nie da się wyjaśnić samą liczbą wprowadzanych w ruch powieściow- ych postaci. Zdecydowała o nim umiejętność prawidłowego ukazywa- nia indywidualnie zabarwionych re- akcji poszczególnych bohaterów książki na najbardziej elementarne przejawy otaczającego ich świata.

Sędzia Wilczyńska i sądowy kura- tor Majewska, przejmując urzędową pieczę nad piątką, podjęli się trudne- go zadania skierowania zamięczonych poczyną i pragnień młodych we wła- ściwy nurt życia. Fundamentem pe- dagogicznych zabiegów stała się te- za o zbawienne wychowawczym wpły- wie, jaki może przynieść właściwe rozbudzenie i zaspokojenie młodzień- czego zainteresowań. Koźniewski, który z kolei przejmując tezę Wilczyń- skiej i Majewskiej, powziął podwój- ne pisarskie zobowiązanie: ma wier- nie odwzorować proces przemian psy- chicznych grupki młodych, a dla bez- blednego przeprowadzenia tego pro- cesu musi ukazać świat ich przeżyć w najbardziej ścisłych związkach z otaczającymi ich sprawami. Jakie- kolwiek uchybienie czy uproszczenie artystyczne, bądź w sferze organizo- wania realiów, składających się na obraz (i.), na którym mają się ryso- wać procesy moralnego odnowienia (Marek, Zbyszek, Jacek) czy upadku (Lutek, Kazeł) bądź też w sferze a- nalitycznej psychologicznej, prowadzącej do natychmiastowej klęski artystycz- nej. Sytuacja jest jasna — jeśli pisa- rz nie będzie w stanie ukazać rzeczy- wistości w jej bogatych, interesują- cych cechach — nie przekona czy- telnika, że ta sama rzeczywistość porwała i uleczyła zdegenero- wanych chłopców.

Sukces założeń pisarskich jest jed- nocześnie sukcesem realizmu oraz pogłębionej analizy psychologicznej i dobrego przykładem zwycięstwa wpr- wadzonej jako decydująca siła moto- ryczna, rozwijająca powieściowe konflikty — ideologii nowego społeczeństwa.

4.

Obraz Warszawy lat 1947-48 nie jest w książce Koźniewskiego war-

tością autonomiczną. Przeciwnie, ie- go przekonywająca prawda wpływa właśnie z tego, że poszczególna frag- menty skomplikowanego życia miasta, są organicznie związane z działaniem ukazywanych na ich tle ludzi. I dlatego właśnie, choć kor- stując z akcji powieściowej niuansów byc realizowana przez z góry zatzo- ny wybór fragmentów warszawskie- go życia, otrzymaliśmy obraz rze- ułamkowy, ale niezwykle żywy i sugestywny.

Warszawa 1948 roku była terenem realizowania pierwszych założeń pla- nowanej odbudowy. W atmosferę secesyjnych uwag, nierzadkiego cy- nizmu, w ustach wrogów i dużego przywiązania do dawnych miejskich konturów rosły pierwsze nad podziw śmiałe, potracające o zułnowalstwo, olbrzymie koncepcje urbanistyczne. Wyknanie zamierzonych, prac było w równym stopniu uzależnione od sunych środków materialnych, jak i od nowych zasad organizacji pracy: tam — gdzie pojawiał się plan — harmonogramy prac, koniecznym współzyskiem wykonania stawa- ła się zdyscyplinowanie załogi, świad- ość rozwiązywania zadań i po- szukanie nowych metod pracy. W świat warszawskiego zagłębia budo- wanego wprowadza nas w książce Koźniewskiego droga życiowa Marka Kozła, wytyczana mu przez ku- ratora Majewską. Nie od razu i nie łatwo wpadł Marek w rytm „budo- wanej pracy — budowlani dnoiero organizowali się w zwarty robotni- czy zespół, przewyżczając tradycyj- ne cechowe skłonności. Ale pierw- szy chłopczy sukces w trójce murar- skiej Compla stał się progim now- ego życia.

Podobny nurt spraw wypieinał ży- cie warszawskiej fabryki do której trafił Kazeł Spokorny.

Kulawy Jacek i dziecinny Zby- szek przenoszą naszą uwagę do in- nego kregu warszawskiego życia: ich domena jest redakcja dziennika i teatr. I choć nie ma w książce roz- budowanych partii, które byłyby zdolne ogarnąć skomplikowany tryb pracy tych bardzo specyficznych in- stytucji kulturalnych, to jednak odczuwamy w pełni rytm pulsują- cego w nich życia, podchwytujemy atmosferę zasadniczych dyskusji i starć, które prowadziły do przebudo- wy prasy i teatru w kierunku jak- najbardziej pełnego zaspokojenia na- szych potrzeb ludzi nowego czasu.

Cały ten obraz malujący Warszawę 1948 byłby bardzo niepełny, gdyby

zabrakło w nim przedstawienia jej drugiego oblicza, kryjącego się po- dówczas po piwnicach wypalonych domów, w paskarskich kryjówkach i w ciemnych, zadymionych lokalach „Piekielek-Hadesów” i im podob- nych. Paskarski, walcuclarstwo, kradzież, napad rabunkowy — „eks- propriacja” i szpiegowskie kontakty z ambasadami zamorskich krajów wiązały silnie ze sobą i jednością złodziejskiego działania i zasad ka- techizmu politycznego — cały klan szumowin i metów społecznych. Po- wieść Koźniewskiego daje niekłam- ny obraz najbliższej warszawskiej przeszłości. Obraz ten i po swej ciem- nej stronie nie jest statyczny — twarde ramię ludowej sprawiedli- wości coraz skuteczniej docierało do samych korzeni społecznego szkodni- ctwa likwidując je i niszcząc.

5.

Sprawa Kazka Spokornego jest w książce Koźniewskiego sprawą naj- trudniejszą. Początkowo budzi ona nawet sprzeciw, chęć polemizowania z pisarzem... „Że Lutek Kozłowski był drań i słuszenie poszedł za kratki, to racja... Ale Kazeł?”

W wyniku rozwijania powieściow- ych perypetii banda Zenona do- staje się w ręce milicji w momencie przeprowadzania „sądu” nad zbun- towanymi chłopcami z Barskiej. Ma- rek, Janek, Zbyszek uwalniają się ostatecznie od groźnej zmyry mło- dzieżnego życia. Lutek Kozłowski mimo swej wszechogarniającej nienawiści, rozciąganey nawet nie- kiedy na „szefa”, a jednocześnie wskutek niej, nigdy nie odszedł ani na krok od spraw bandy. Miał zbyt przearty zbrodnia organizm, był przecież mordercą Radziszewskiego. Przy charakterystyce Kozłowskiego trzeba przynależ na plus Koźniew- skiemu, że nie poszedł łatwą drogą rysowania „szwacharakteru”, że dał i w tym miejscu dobrą analizę psychologiczną (np. świetnie została ukazana sfera marzeń i pedagogicz- nych upodobań Kozłowskiego).

Alle historia Kazka była napraw- de fatalna. Kazeł pierwszy odnalazł zadowolenie w pracy, pierwszy zo- stał przodownikiem na swoim odcin- ku. Jego sukces i jego praca były najmniej efektowne z tych wszyst- kich, jakie przypadły Markowi — jednemu z najgłośniejszych w War- szawie pomocników murarskich, Zbyszkowi — świecącemu tryumfy aktorskie i Jackowi — radośnie u-

(Dokończenie na str. 7)

*) Kazimierz Koźniewski, Piątka z ulicy Barskiej Warszawa 1952. PIW, str. 283+3 nfb.

PRZED ZŁOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW (III)

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Dziewczęta z Czwartej Lewej

1. SEKRETARZ egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej znalazł się twarzą w twarz w sieni Biura Obliczeniowego z przadką z Czwartej Lewej w chwili, gdy młoda kobieta trzasnęła za sobą drzwiami i mruknęła ze złością: — Cholera!

— Co się tak złości, Malinowska?

Przadka wyjęła z torebki wazylutki pasek obliczeniowy. — Zobacz pan, jaka wypłata w tym miesiącu! Szlag człowieka może trafić!

Rozciągając trzepocącą na wietrze papierową wstążeczkę sekretarz odczytywał odbity na maszynie tekst:



Rys. J. Walker

Genowefa Malinowska, zaliczka — 250, zasadnicza — 701,31, premia produkcyjna — ta kratka świeciła pustką.

— To się nazywa zarobek? Na rękę wypada 450 złotych! — nie zatrzymując się, zabrała poręcz sekretarza i schowała do torebki. — Co to, pokraka jestem czy co?...

Oślepiam albo się może zastarzałam w tym ZMP, żeby mi nie potrafiła więcej zarobić? — pytała urągliwie.

— Majster Kłapecki powiada, że na całej Czwartej Lewej nikt nie ma takich zwinnych palców jak ja.

— Zarobki niskie, bo nie wykonujemy planu — mówił Ryl. — Jak podwyższymy wykonanie planu, to zarobki się zwiększą.

Malinowska podniosła obie ręce do głowy i poprawiła nerwowo niebieską, kretonową chusteczkę, spod której, wymykały się jasne, syplące włosy. — Pan wie swoje, a ja swoje. Plan wykonamy, wiadomo. Ale co do zarobków, to u nas mówią: „Jak się przadka narobi, to nie nie zarobi”.

— To niby że jak? Kto winien? Maszyny, majstrowie, brygady remontowe?

— At, szkoda gadać! — Malinowska machnęła ręką, podwiązała mocniej chusteczkę pod brodą i pośpieszyła do wyjścia.

— Dzień dobry, towarzyszu — powitała go zimno nadchodząca właśnie Budzińska, kandydatka z ZMP do Partii.

— Cześć! — odparł sekretarz. — Co słychać?

I uprzedzając przewidywaną odpowiedź, dodał sam: — Niedobrze. Nie wykonujemy planu.

— A nie wykonujemy — potwierdziła przadka. — Dużo w tym waszej winy, towarzyszu!

— Mojej winy? — zawołał wielkim głosem i pośpieszył za Budzińską jak poprzednio za Malinowską. — Mojej winy, powiadacie? Dlaczego? — domagał się głośno i natrętnie odpowiedzi. — Powiedźcie! Gdzie to jest moja wina? Co ja mogę więcej zrobić? Widzicie przecie, że się staram, mało nie wyskoczę ze skóry!

— Mało nie wyskoczycie ze skóry — podchwyciła urągliwie Budzińska — ale co się dzieje na Czwartej Lewej, tegż za biurka nie widzicie!

— Jak to nie widzicie? Widzę wszystko.

— Wszystko? Ejże, towarzyszu, a to, że majster hamuje produkcję, nie pozwala przadkom z trzech stron przejść na pięć, to widzicie?

— Zaraz, towarzysko Budzińska, zaczekajcie, proszę was!

Ryl rozłożył krótkie ręce i zagroził przadce drogę do portierni. — Chwileczkę. Majster, powiadacie? Głowę daję, że mówicie o Stapińskim. Może nie? No właśnie! Widzicie, że zgadłem! A komu to on zabrania przejść na pięć stron?

— A choćby mnie pierwszej!

2.

Podmajstrzy Owczarski ślinił ołówkę, gryzmolił szeregi cyfr, głowił się i mizolił, i nie mógł obliczyć, ile zębów powinno posiadać koło rozciągnięte dla nowego numeru przędzy. Udał się więc do Stapińskiego.

— Panie majster, jakoś mi nie wychodzi.

Stapiński dmuchnął w swoje siwe, rozstrzępione włosy, otarł wierzchem dłoni krwiste i błyszczące, jakby wysmarowane tłuszczem policzki, wziął kartkę z rąk Owczarskiego, zasiadł do stołu i dokonał w ciągu minuty obliczenia.

Owczarski usiłował zerknąć przez atletyczne, obciążone granatowym łańcuchem ramiona majstra i podpa-

trzyć sposób wyprowadzania liczby, lecz niczego nie mógł dostrzec. Stapiński otoczył kartkę koliskiem swych grubych rąk chroniąc ją zadrżnię przed okiem podmajstrzego.

— Trzydzieści osiem — podał mu tubalnym głosem wynik obliczenia.

Owczarski wyciągnął rękę. — Daj mi pan tę kartkę, panie majster, niech i ja się nauczę.

Stapiński uśmiechnął się jowialnie, pomachał grubym paluchem przed nosem Owczarskiego i schował kartkę do kieszeni drelchowego płaszcza. — Nie, bracie! Za przedko chciałbyś wszystko wiedzieć! Tak ci pilno odbierać chleb starym?

Do kantoru wbiegła przadka Pytloch. — Panie majster! — zawołała.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzywić szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może-cie to powiedzieć komuś innemu, nie mnie! Właśnie!.. A potem się naszkakuje na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzywić szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może-cie to powiedzieć komuś innemu, nie mnie! Właśnie!.. A potem się naszkakuje na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzywić szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może-cie to powiedzieć komuś innemu, nie mnie! Właśnie!.. A potem się naszkakuje na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzywić szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może-cie to powiedzieć komuś innemu, nie mnie! Właśnie!.. A potem się naszkakuje na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

— W porządku, powiadacie? — wrzeszczała Pytloch usiłując przekrzywić szum motorów. — A ja wam powiadam, że nie w porządku! Już wy mi oczu nie zmydlicie! Może-cie to powiedzieć komuś innemu, nie mnie! Właśnie!.. A potem się naszkakuje na przadkę, że nie wyrabia bazy!

Przechodzący obok nich majster salowy pomógł Owczarskiemu. Okazało się, że szesnastka ma zdecentrowane wrzeciono i powinna iść do remontu.

— Co się stało?

— Panie majster, zabrakło mi forganu!

— A to ci dopiero zmartwienie! Ja myślałem, że pożar — naigrawał się Stapiński z przadki. — Dobrze, do brzo! Wracaj pani do maszyny. Zaraz pani dośle trochę niedoprzedu.

Pytloch pociągnęła Owczarskiego za rękaw. — Owczarski, choćcie ze mną tymczasem zobaczyć, co się na mojej szesnastce wyprawia, bo mi coś ta maszyna nawala.

Owczarski zaczął oglądać maszynę, lecz nie mógł doszukać się błędów.

JAN DANECKI

O MOŻLIWOŚCIACH MŁODZIEŻY

w spółdzielniach produkcyjnych

ZAGADNIENIE młodzieży w spółdzielniach produkcyjnych zasługuje na specjalną uwagę. Jeżeli bowiem praca nad umocnieniem i rozwojem spółdzielni jest w ogóle rzeczą niełatwą, to dla młodzieży ma ona jeszcze dodatkowe trudności.

Młodzieży brak — po pierwsze — tego doświadczenia produkcyjnego,



Foto CAF

jakie posiadają ich ojcowie i matki, zazwyczaj 20 — 30 lat gospodarczego doświadczenia.

Po drugie — młodzieży musi wciąż jeszcze przełamywać starą, a głęboko zakorzonioną na wsi tradycję, w której szacunek i autorytet „należą się dopiero starym gospodarzom”.

Po trzecie wreszcie, młodzież, która wchodzi do spółdzielni poprzez swych rodziców (jako część składową rodziny), lub dopiero do niej wchodzi, staje przed problemem: *pozostać, czy wyjść ze wsi?* Dla starszego pokolenia, które zdecydowało się na życie w spółdzielni, problem taki w praktyce nie istnieje. Zapuściło ono już głębokie korzenie wieloletniej pracy na wsi i teraz swoje wiejskie życie ulepsza na miejscu, jednocząc je z życiem robotników w socjalistycznej organizacji i technice pracy. Młodzież natomiast nęci możliwość wyboru: wieś — miasto? I ta sytuacja nierazkiedy umniejsza jej pełną aktywność i oddanie dla pracy w spółdzielni. *Niezdeterminowanie* — oto trzecia trudność na drodze młodzieży.

Lecz, równocześnie — właśnie dlatego, że jest to młodzież — posiada ona przecież i pewne szczególne możliwości, dzięki którym dorównać może pokoleniu swych ojców. Jakież to są możliwości? W jaki sposób mogą one pomóc młodzieży w przezwyciężeniu wymienionych trudności?

Na te, tak ważne, pytania garść ciekawych odpowiedzi dała narada aktywność młodzieży w spółdzielniach produkcyjnych, zwołana niedawno przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej.

*

Co jest najważniejszą sprawą w spółdzielni? Niewątpliwie *umiejętność gospodarowania*. Kto górnie w tej sztuce? Starzy — nie młodzież. Ale... ślegnijmy do przykładów.

W dyskusji omawiano taki wypadek. W którejś spółdzielni zarząd — nie mogąc dać sobie rady z kontrolą — podzielił plantację buraków cukrowych na 13 towarów działek i każda z nich przydzielił jednemu spółdzielcy do indywidualnej obróbki.

Takie „rozwiązanie” zaatakowali ostro uczestnicy narady. Krytyka uderzyła w samo sedno sprawy: rozdzielanie plantacji oznacza krok w tył, przywraca ono bowiem tradycję indywidualnego gospodarowania. Buraki ujęte w dużą plantację powinny być w spółdzielni tak być — przewidując — uprawiane (odstępny), aby dały się do ich pielęgnacji zastosować maszynowe opaczce, a przy zbiorze — ogławiacze.

Oto perspektywa, jaką daje spółdzielnia: duża produkcja, wyższa agrotechnika, umaszynowanie i zespolenie — specjalizacyjne — wykorzystanie pracowników.

Niefortunne posunięcie zarządu zdumiewało wszystkie cztery warunki, charakteryzujące gospodarke spółdzielczą i rozstrzygające o jej prawidłowym rozwoju.

W dyskusji ani razu nie padło słowo: praktyka „starego gospodarza”. Ale przecież o tę praktykę całą rzecz poszła, ściślej mówiąc — o jej stronę społeczną — o to że jest ona związana z pracą na indywidualnym gospodarstwie. Bo coż pociągnęło spółdzielców do podziału plantacji? Właśnie — stare, długoletnie doświadczenie na swoim.

Przez 20 — 30 lat gospodarzyli w pojedynkę na drobnych kawałkach ziemi; teraz gdy w nowych warunkach zespołowej pracy natrafili na pierwsze trudności, powrócili po prostu do tamtej, wypróbowanej praktyki — rozdzielił plantację. Atak ZMP-owców uczestników narady staremu, wąsko rozumianemu doświadczeniu gospodarstwu przeciwstawił nowe spojrzenie polityczne — spojrzenie na każdą gałąź produkcji z punktu widzenia losu spółdzielni, jako całości socjalistycznej.

Oto jedna z możliwości młodzieży. W mniejszym stopniu obciążo-

na praktyką i kalkulacją rolną gospodarza indywidualnego, o wiele bardziej pociągana tym, co w spółdzielni nowe, chwytła młodzież łatwiej samą zasadę spółdzielczości produkcyjnej.

*

Wejrzymy w dzieje Emilii Wojtal z spółdzielni w Górkach Noteckich (pow. Strzelce Kraińskie). Czegoż to nie robiła w pierwszym okresie istnienia spółdzielni! Pracowała w obozie przy krowach, przy siewach, żniwach i młóćce, przy obróbce buraków cukrowych, sianokosach, wykopkach... Dodajcie do tego jeszcze robotę na dziale przyzagrodowej, a otrzymacie tę dawną, od rana do późnego wieczoru trwającą krzątanie kobiety wiejskiej; tyle tylko, że zespołowo i że najcięższe prace wykonywały maszyny.

Ale spółdzielnia zaczęła się powoli rozbudowywać. Do dawnych trzech krow doszło jeszcze 24 i tyle już jaołwizny. Zakupiono 60 sztuk trzody chlewnej. Zakontraktowano roślino przemyślowe. Założona została ferma drobitu, obliczona na tysiąc rasowych kurcząt. Razem z tym pojawiła się konieczność racjonalnego podziału pracy.

Wojtalównie przypada w udziale ferma. Tysiąc kurcząt! Nowoczesne urządzenia inkubacyjne! Tu już nie poradzisz pracować po staremu. Specjalizacja! Trzeba było wziąć do ręki broszurę i książkę fachową, trzeba było praktykować i zdobywać krok za krokiem sztukę naukową hodowli.

W taki to sposób z dawnej dziewczyny wiejskiej — która wszystko robiła, a na niczym się gruntownie nie znała — Wojtalówna stała się wykwalifikowaną pracownicą, specjalistką w dziedzinie hodowli drobitu.

Teraz dopiero, od momentu specjalizacji — bierze się za książkę i teraz dopiero — specjalistka, od-

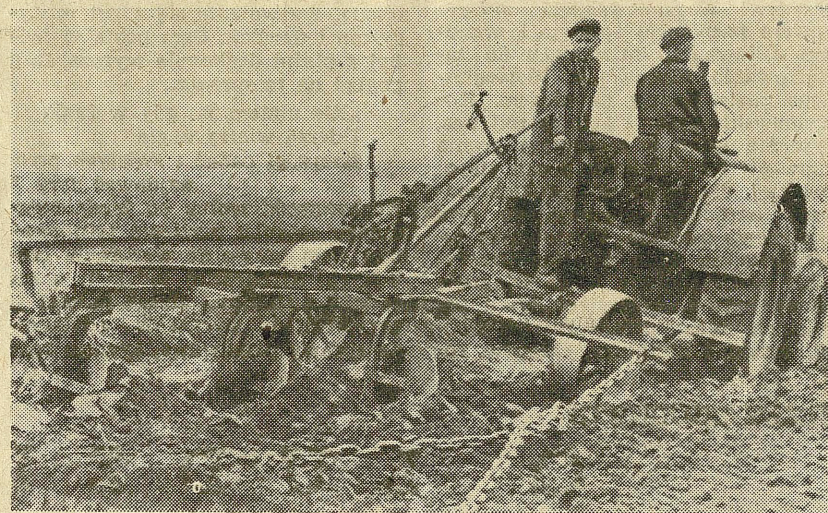


Foto CAF

powiadająca za wyodrębnione ogniwko produkcji — w życie społeczne i organizacyjne wnosi cenne doświadczenia i zyskuje autorytet w spółdzielni (zostaje przewodniczącą koła ZMP).

*

Był głos w dyskusji, który skupił na sobie szczególną uwagę — głos Albina Cichego ze spółdzielni w Kamieniu (pow. Złotów). Bo Cichy również ukazał możliwości młodzieży w zakresie samej produkcji. A jest to sprawa niezmiennie doniosła: może młodzież najlepiej oorientować się i najlepiej radzić w sprawach politycznych i organizacyjnych umocnienia spółdzielni, ale jak długo nie opanuje samej sztuki uprawy roli, jak długo nie wykaże swej wartości bezpośrednio w produkcji — tak długo i tamte rady zbywane będą lekceważeniem.

Otóż w Kamieniu jest młodych chłopców i dziewcząt 16. Z tej 16-stki dwóch poszło na kurs traktorzystów. Ale reszta również intensywnie się maszynami. I zdarzyło się w ubiegłym roku przy żniwach, że niedoświadczony traktorzysta z POM-u źle nastawił żniwarkę. Robota utykała. Wtedy zetempony z Kamienia, sprawdził i nastawił maszynę prawidłowo. Co więcej, do każdego traktora umocowali nie po jednej, a po dwie snopowiązałki. Dzięki temu traktor wyrabiał teraz po dwie normy dziennie. Podniosło to poważnie znaczenie młodzieży w oczach starszych spółdzielców. I rzecz zrozumiała — będzie podnosić się w dalszym ciągu, w miarę jak posuwają się będzie naprzód proces mechanizacji gospodarki spółdzielczej.

To jedna droga. A druga?

W Kamieniu ZMP-owcy i harcerze założyli poletko doświadczenia. Posadzili na nim dziesięć różnych odmian ziemniaków, kilka arów so- żek i sorgo. Uprawiali w myśl wskazówek agronomów i fachowych książek rolniczych.

Poletko doświadczenia w Kamieniu nie było duże — zaledwie 25 arów. Ale nie na wielkość polało jego doniosłe znaczenie. Poletko — to szkoła nowatorstwa i naukowego podejścia do uprawy roli. Od poletki doszli ZMP-owcy do utworzenia młodzieżowego ogniska. O to ognio biją się teraz na zarządzie: chcą wziąć pod swoją opiekę specjalną uprawę, np. 40 ha owsa, i zastosować tam w jak największym stopniu maszynową uprawę oraz wskazania wiedzy rolniczej.

Opanowanie techniki i opanowa-

nie wiedzy rolniczej — oto drogi, na jakich młodzież zdobywa współdzielni autorytet w zakresie techniki produkcji. To są równocześnie dwie podstawowe drogi awansu młodzieży, jej wyrastania na traktorzystów i mechaników, na agronomów i mistrzów wysokiego urodzaju — wysokokwalifikowanych specjalistów w rolnictwie.

*

Na naradzie zaznaczył się bardzo wyraźnie rosnący pod młodzieżą spółdzielczą do szkół rolniczych, na kursy techniczne i fachowe. Z samej tylko spółdzielni w Mrozach (pow. Elk) na kurs traktorzystów poszło 8 osób. Ze Stradunów wysłano 3 dziewczęta do liceum rolniczo-hodowlanego. Z Górki Noteckich 2 uczęszczają do liceum rachunkowości rolniczej, a jeden jest na kursie traktorzystów. Sporo też odpłynęło do szkół pozarolniczych i do samego przemysłu.

Taki odpływ jest konieczny i zdrowy. Do niego prowadzi samo życie spółdzielni. Wielka i zmechanizowana gospodarka rolna zwalnia wszak część sił, daje więc młodzieży poważną szansę wyjścia do szkół i do przemysłu. Ale zdarzają się konkretne wypadki, kiedy już nie chodzi, ale niemal że cała młodzież odpływa ze spółdzielni do miasta. O takich wypadkach wspominało na naradzie: tak było w Prochach (pow. Złotów), Sikorach (pow. Elk), w Brzozach (pow. Strzelce Kraińskie). Jaka przyszłość czeka takie spółdzielnie? Czy może być mowa — w podobnych warunkach — o prawidłowym rozwoju i umocnieniu spółdzielni?

Oczywiście, w takich wypadkach ostrze krytyki trzeba w pierwszym rzędzie przenieść na Powiatowe Zarządy ZMP, na niedostateczną pomoc Partii i samego zarządu spółdzielni. Młodzież, odpływając ze spółdzielni do miast, nie ucieka przecież przed socjalizmem. Ale w masowym ze spółdzielni odejściu wyraża się niedocenianie faktu, że socjalizm rośnie nie tylko w mie-

ście, lecz także i na wsi, a zarazem tych ogromnych perspektyw, jakie otwierają dziś przed młodzieżą na samej wsi wielkie zmechanizowane i wyspecjalizowane socjalistyczne ośrodki rolne: PGR-y, POM-y i spółdzielnie produkcyjne.

Trzeba te perspektywy młodzieży ukazywać w większym stopniu niż dotąd. Trzeba ją mocniej wciągać w pracę spółdzielni, dawać jej pole do odznaczenia się i sprawdzenia. Droga, jaką wskazał Cichy na przykładzie spółdzielni z Kamienia, uszczelnia młodzież przed *namierzeniem* — i dlatego nic dobrego nie wróżymy odłotom.

Bardzo ciekawy jest w tym względzie przykład Emilii Wojtal. Dwa lata temu, jeszcze przed założeniem spółdzielni, Wojtalówna chciała iść do przemysłu. Była już w Szkole Przemysłowej Przemysłowej — do powrotu zmusiła ją choroba matki. „A teraz, już oczywiście nie chcę — powiedziała na naradzie — teraz zamierzam uczyć się na agronomów hodowlanych. Jeśli nie będę w mojej spółdzielni, będę w mojej gminie, w przyszłości także spółdzielczej”.

*

W spółdzielni Stradunów (pow. Elk) przewodniczącą sztykował ojca zetemponca a jemu samemu nie wypłać dniówek. Tenże przewodniczący ważył się nawet na pobicie kilku członków za niewykonanie poleceń.

„Ekonom” — tak oceniono owego przewodniczącego na naradzie. I w tym dyktatorstwie dopatrzyli się — u jego źródła — nieprzewidywanej jeszcze wśród starych chłopów tradycji przedwojennej, indywidualnej wsi, gdzie wzorem kierownika zbiorowej produkcji był na folwarku ekonom, administrator i dziedzic.

Albin Cichy dowiódł, dlaczego u nich w Kamieniu takie sobiepaństwo byłoby niemożliwe. Jest zarząd, jest Podstawowa Organizacja Partynia. Przed nimi odpowiada przewodniczący, przed nimi składa sprawozdania, z nimi planuje, ich też podlega kontroli i aprobacja.

Przewodniczący pełni swą funkcję w zespole i pod kontrolą zespołu. I nie sama funkcja, ale poparcie zespołu stanowi źródło jego władzy i (Dokończenie na str. 6)

*) Patrz: Edward Szuster — „Na tropach sprawy Balcerka” (Nr 24) Franciszek Fenikowski — „Stocznicy z Młodej Gwardii” (Nr 25).

TADEUSZ SZEWERA

JAK BYLI NA UKRAINIE, JAK WRÓCILI I JAK POWIAT ZDOBYLI



Rys. J. Walker

NA drogę wyprawiała go żona, sąsiadzi, przede wszystkim jednak — kulał Więciorek. Zona wręczyła mu kuferek, w którym znalazłyby wszystko co jest potrzebne w daleką drogę, a także i pół bochenka chleba (to na wszelki wypadek). Poza tym, kłając dostatecznie głośno, zawiesiła mu na szyi poświęcony medalik, by go Człotowska strzegła od „wszelakiego zła”. Sąsiedzi przykazywali mu baczne zwracanie uwagi nawet na najdrobniejsze szczegóły, prowadzenie skrupulatnych notatek i pożegnali go serdecznymi uściskami dłoni. Zaś kulał Więciorek odprawił go daleko poza wieś, szepcząc do ucha następujące przykazania, które dzięki ustnej relacji owego „podróżnika” — Stanisława Borkowskiego z gromady Jasionna w powiecie sieradzkim — przekazuję i wam czytelnicy.

— Najpierw pozasłaniaj wszystkie okna, by nie mógł dojrzeć okolic, przez które będziecie przejeżdżali.

— Potem dadzą ci okulary powiększające, a to dlatego, byś nawet najmniejszą krowę widział jako olbrzyma.

— Jak ci w kolchozie pokażą już wszystko, to najpierw — zanim pojedziesz do drugiego — przez jeden dzień będziesz odpoczywał. Wtedy zobaczysz kolumny samochodów. Nie daj się zwieść gadaniom, jakoby te auta przewoziły zboże. Przewiozą one bowiem wszystko to, co oglądał przed chwilą, w drugie miejsce. I te same „cuda” pokażą ci jutro w drugim kolchozie.

— Przeto, abyś się mógł przekonać jaka jest fałszywa ich propaganda, zmierz krowie ogon, oglądaj dobrze rogi i racice, zapisz sobie masę i zaglądaj gądzinie do pyska. Jak jutro w drugim kolchozie taką samą krowę spotkasz, znaczący strącaj lipę przed głupim polskim chłopem.

— Jak cie będą ciągnąć do domów kolchoźnicy na poczęstunek — idź, ale potem przeprenetruj oborę, szopę i stodołę, bo tam zapewne zostanie schowany przed oczyma wycieczkowiczów wózek koci, z którego wszyscy jedzą razem. (Naturalnie, kiedy nie przyjeżdżają żadne wycieczki).

— Każdej kobiety pytaj się, który z kolchoźników jest jej mężem. Dowiedz się w ten sposób, że przynajmniej trzech ma ślubnych, a dwóch nieślubnych. U nich to tak, jak u Turków: jeden chłop ma cały harem babski.

— Pokażą ci także dom, który nazywa się „przytułek dla starców i kalek”. Pokażą ci go z wierzchu, do środka nie wpuszczą. Gdyby ci się udało jakoś tam zakraść, ani jednego starca w tym domu byś nie zobaczył, a to z tej racji, iż tam urzędy się mieszczą. Taką ich opieką nad starym człowiekiem.

— Oglądaj także dokładnie maszyny, które nazywają kombajnami. Jak nie będzie przy nich piekarni wypiekającej chleb, to znaczy, że te maszyny nie są warte. U nas przecież też są maszyny żniwne bez piekarni.

— Podobnie jak z krowami, dokładnie obserwuj ludzi. Ich także, a zwłaszcza spasionych, będą wozić z jednego kolchozu do drugiego, by wam udowodnić, jak to człowiek ma się tam dobrze.

— A najlepiej, to jakbyś Borkowski — młoty sąsiadzie! — nie jechał wcale, bo zaraz na granicy wsadzą was wszystkich w taki pociąg bez okien i na Sybir wywożą!... No, nie protestuj... Zeszłoroczne wycieczki wróciły tylko dlatego, żeby więcej naszych ludzi zachęcić na obecny wyjazd. Nie inaczej, sąsiadzie!

Być może Stanisławowi Borkowskiemu od kulaczek gadania zjeżyły się włosy na głowie i w pierwszej chwili zamarł strachem. Mimo to pojechał na Ukrainę Radziecką i nie było go w rodzinnej wsi pełnych trzy tygodnie. Wystarczająco długo, by kulał Więciorek miał czas „oblecieć” wszystkie chałupy Jasionnej i z ubolewaniem zakomunikować „drogim sąsiadom” wieść niesłychaną. Pewnikiem Borkowski i cała wycieczka zadusiła się w „Metro”. Bo jak to można sto osiemdziesiąt chłopów w „Metrze” zmieścić, skoro on sam Więciorek ma metr siedemdziesiąt w pasie i ledwie brzuch swój w tym obwodzie mieści. Taką to zgrozę przepowiadał Więciorek.

Atoli w równe cztery tygodnie od dnia wyjazdu do Związku Radzieckiego rozmawiał ze Stanisławem Borkowskim tu, w centrum ziem polskich, w Łasku pod Łodzią na wielkiej, powiatowej naradzie.

Niecodzienna była to narada. Komuś, kto przypadkiem zajrzał na salę mogło się wydawać, że to istny parlament... Byli tu bowiem jak zwani neutralni i wahali się

nie wiedząc jeszcze po czyjej stronie się opowiedzieć. Chudy jak tyka średniak Zabek, o niespokojnie rozbieganych oczkach, bez przerwy wyłamujący ze stawów z traskiem własne, przygrube trochę palce. Dalej przysadkowaty Bobrek nieustannie zwracający się do swego sąsiada z cichutkim pytaniem: „Jak myślicie sąsiadzie, dobrze to będzie?” Tuż obok starszawy, świecący tysiąc pięćdziesiąt żmudzik, przytakujały każdemu zdaniu, obojętnie czy było to pytanie, czy też odpowiedź. Widocznie wychodził z założenia, iż „pokorne ciele dwie matki ssię”... Takich neutralnych zliczyłbyś ze trzydziestu...

Z prawej, tuż przy piecu, zasiadła zdecydowana opozycja. Było ich nieco mniej. Więciorek ze swoim pękłym brzuchem i baranią twarzą. Bliznę, wciśniętą w krzesło kobiecie na śmiejącą się ustawicznie bezzębny ustami. Ta co chwilę podrywała się z krzesła, poprawiała kraciastą chustkę, spod której wysuwał się rdzawy kosmyk włosów i piszczała dyskantem: „...a ślubny!... Ślubny powiadam!” Zza krzesła tych dwojga wystawała wielka głowa kulaka Szczodrego z Szadku. Jak

Narada, czyli rozmowa między chłopami, nie trwała jeszcze godziną, a już było pewne, że chłopci nie mają zastrzeżeń co do organizacji produkcji w kolchozach, nie mają wątpliwości odnośnie mechanizacji. Stało się jasne, że są raczej inne sprawy, które budziły w nich wątpliwości. Dotyczyły one nie bazy produkcyjnej, a nadbudowy, czyli człowieka. I o dziw. Zagadnienie człowieka i sprawy jego życia



Rys. J. Walker

tylko któryś z chłopów zabierał głos. Szczodry szturczał w bok siedząc przed nim kobiecie i wołał basem: „Zajdelkowa... jeszcze raz z tymi ślubami! No, dajcie!”

Wreszcie z lewej strony sali zasiadła większość, mająca w zanadrzu stos argumentów przeciw opozycji. Zadzierzasty Wrona w kraciastej bluzie, potrząsający notatnikiem agitatora, trzymogawiec Pęczek, dziadek Mateusiak, którego przed tradycyjnym „wyciugiem” obroniła spółdzielnia produkcyjna, Balbusik z rozwidzoną czupryną, Smoła — chłop mały, ledwie wystający ponad poręcz krzesła...

Czy więc można się było dziwić, że w sali wrzało, skoro tacy chłopci brali w niej udział? Narada mogła

osobistego i społecznego, wyciągnęła na wierzch opozycję. Maszyn i produkcji wrogowie woleli nie tykać; tu z góry byli przygotowani na klęskę. Zaczęli więc o człowieka, bo już taki Borkowski tym sprawom dobrze się nie przylgdał? „I cała „lewa strona” wraz ze Stanisławem Borkowskim wkopie się, że aż miło!”

A zaczęło się wszystko od Więciorki. Słuchając wywodów Borkowskiego na temat maszyn, wiercił się niespokojnie, wreszcie wstał zamasyścić z krzesła. Zawadził przy tym brzuchem o krzesło sąsiada, że aż sala zatrzęsa się od śmiechu. On tylko tyknął okiem z ukosa na Borkowskiego siedzącego przy stole prezdydalnym, potem ogarnął spojrzeniem salę i zagaił:

— „Opowiadania Iwana Sudarewa” Aleksieja Tołstoj’a i cykl narratorski Leomida Sokolewa pt. „Morska dusza”.

Ala po wojnie opowiadanie nie utrzymało swojej wysokiej pozycji. Nie brakowało w dalszym ciągu zainteresowań czytelników, ale degradacja opowiadania nastąpiła w samym środowisku twórczym i w redakcjach czasopism. Pisarze chętnie sięgali po inne gatunki literackie. „Wytworzyła się dziwna sytuacja — zauważa „Literaturna Gazieta” z dnia 15 maja br. — kiedy miesięczniki prawie zupełnie przestały publikować opowiadania, krytyka zapominała o istnieniu tego gatunku literackiego, liczne zbiory tekstów estradowych i programy radiowe zamiennie pełnowartościowe opowiadanie na fragmenty z powieści. Radzieckie społeczeństwo zaniepokoiło się o losy ważnego rodzaju literackiego”.

Krytyka radziecka przestrzega przed niedocenianiem opowiadania, przed próbami pomniejszenia roli, jaką opowiadanie ma do spełnienia. Dają się słyszeć błędne sądy, jakoby gatunek małej formy musiał być nacechowany „małą treścią, co wyrażałoby się we fragmentaryczności fabuły i w unikatności bohatera o wielkiej formacie. „Sens takiego rozumowania — zauważa krytycznie „Literaturna Gazieta” — zasada się na mniemaniu, że wszystko to, co z racji swej małej wagi nie może stać się materiałem albo fabułą powieści zagarnia „w swoje sieci” opowiadanie”. Jest to niesłuszny i szkodliwy sąd. Ale skoro istnieje taka „koncepcja” i oddziaływała na prozatorów, wynikiem fałszywego założenia musi być obniżenie poziomu i pewna jednostajność opowiadania, która dała się niedawno zauważyć. Tymczasem opowiadanie to nie fragment obrazu, ale cały obraz. Zasluguje na uwagę pisarza i uznanie czytelnika jako pełnowartościowego gatunku sztuki. „Oczywiście — stwierdza „Literaturna Gazieta” — należy brać pod uwagę specyfikę tegoż rodzaju literackiego, nie można za-

— Borkowski, owszem, wrócił opalony, dobrze też wygląda nie powiem; nawet jakby się podpał. Ale już o tych maszynach to niech tyle nie trąca, bo tu naród uświadomiony... — Więciorek odchrząknął i niespodziewanie zaatakował. — Lepiej opowiedz nam bracie, jak to tam jest ze starymi! Spików tu na sali mało, sami staczejni gospodarze. Warto więc w tej sprawie pogadać, żeby człowiek na przyszłość wiedział co go czeka — zakończył triumfująco, sadowiac się z powrotem na krześle, aż zaskrzypiało.

— Co o tym myśleć, to ja wiem — wraz z podniesioną ręką ku górze (znak, że prosi o głos) zerwał się z miejsca, mały zażywny Smoła. Wystawał ledwie za poręcz krzesła, ale głos miał donośny.

— Nie byłam w kolchozie, to prawda, ale niech tu Więciorek nie burczy, że Smoła nie ma nie do gadania. Na wsi żyję i wiem jak u nas jest. A wprawdzie, o tym też powiem! — I Smoła opowiedział wstrząsającą historię starego Górnickiego ze wsi Gruszyce. Stary Górnicki miał już siedemdziesiątka na karku, lecz na tamten świat wcale mu się nie spieszyło. Mimo to, jednego dnia pojechał z synem i synową do Wielunia. Wyjazd poprzedziły takie swary rodzinne, że cała wieś wiedziała, iż o tych 15 hektarów chodzilo, które na starość jeszcze w hipotece figurowały. W Wieluniu notariusz przepisał wszystko na syna i synową, przy czym ta ostatnia sumowała się i biła w pierś przed Ukrzyżowanym w kościele, iż staremu ojcu dach nad głową do śmierci zapewni. Ale ledwo wrócili do domu, synowa zaczęła się ojcowi do komórki wyprowadzić. Przed Bogiem spokojne sumienie miała, bo nad komórką dach był, a z dziurawy to już siła wyszła. Stary przez trzy dni mieszkał w tej komórze, ale czwartego dnia zanieśli go od zimna i deszczu, który się przez szpary i dziury do środka wciskał. W jakiś tydzień później szedł Smoła z przewodniczącym Rady Gminnej koło tej komórki. Zapach ich zaleciał tak okropny, że aż strach pomyśleć. Mówią o tym Górnickiej, a ta w żywe oczy skrzyżuje — że pewnikiem pies zdechł. Wchodzi do środka. — I wierzęcie mi... trupa starego ojca już robaki toczyły! — zakrzyknął wśród ciszy mały Smoła. A potem siadając dorzucił: — Na wiosnę w tym roku to było, u kumotów Więciorka.

Teraz znów obserwowałem Borkowskiego. Mówił wolno, rzeczowo, z miejsca odpowiadał na sypiały się z sali pytania. Opowiadał o starcach w kolchozach. — Tam o takich sprawach, jak w Gruszyce, takich wieluniów, nikomu się nawet nie śni. Wiadomo, że ludzie tam długo żyją.

— Ile żyją? — pada pytanie z sali.

— A bo ja wiem? W jednym kolchozie to widzieliśmy dziadka 60-letniego, w drugim miał już 79 lat, w trzecim to nam pokazali 90-letniego, co jeszcze się dobrze trzymał. To prawda, że nad starymi jest opieka, Taki na ten przy-

kład dziadek Wasyl z kolchozu im. Lenina, w obwodzie nikolajewskim. Kłóczył sobie 79 lat, ale nikt by z was tego nie powiedział o nim. Taki czerstwy i rześki. Koło swego gospodarstwa chodzi całym dniami, bo ma swoją działkę 40-to arową, domek który mu kolchoźnicy wybudowali, chlewik gdzie chowa sobie dwa wieprzaki 200 kilogramowe, obórkę z dwiema krowami. To wszystko jest jego własność i jes-

ki kulaczek Więciorek. Przyszanie, że sąsiedztwo nie bardzo mile, a gwoździ to on dostawał więcej. Kobieta krzywo patrzy na mnie, powiada, że bym się mniej polityką zajmował, to i więcej gwoździ dostanę. Raz przyjechało do mnie dwóch literatów, to ich nawet w domu przyjąć nie mogłem, bo tacy to zaraz o polityce. A już jak zaczęli mówić o spółdzielni i podkreslać, że sojusznik, to znaczy śred-



Rys. J. Walker

cze otrzymuje od kolchozu procenty na życie. A pracować już nie musi, bo tylko do 60 lat jest to obowiązkowe. Ale, że ten mój dziadek Wasyl „chytury” jest na robotę, więc w sezonie jeszcze owce strzyże i ma za to osobno płacone. A wesoly staruszek z niego i co dzień „stakana” popija. Akuratnie byłam w czasie, kiedy Wasyl wrócił z jarmarku i do córek poszedł z prezentami. Te córki mieszkają w tym samym kolchozie tylko przy innej ulicy...

Nie dali Borkowskiemu dociągnąć do końca opowieści o dziadku Wasylu. Zajdelkowa już piszczała na całą salę... — A ślubny! Jak tam ślubny, powiadasz, że ma córki, więc musiał je wydawać! — Zajdelkowa wymachiwała przy tym rekoma tak energicznie, że siedzący obok niej kulacy: Więciorek i Szczodry natychmiast przyłożyli głowy do kolan i trwali tak w bezruchu, aż kulaczka skończyła. Mimo to dostali parę razy solidnie.

Na to wstał Balbusik, ten z rozwidzoną czupryną i uprzedzając Borkowskiego z Jasionnej, opowiedział, jak to go w rodzinnym Wygiełzowie żenił. — Mam piękne córki — powiada. — Kobiety mojej na sali nie ma, to można powiedzieć, że to są moje córki. W jednym kolchozie to widzieliśmy dziadka 60-letniego, w drugim miał już 79 lat, w trzecim to nam pokazali 90-letniego, co jeszcze się dobrze trzymał. To prawda, że nad starymi jest opieka, Taki na ten przy-

— A już o tych sąsiadzkich dobrociach to Borkowski nie mówcie — huknął łasem Szczodry. — Idealni tam ludzie, ho, hol — dodał z przekąsem pewny swego sukcesu, ale zaraz się musiał oganiać od pytań, atakujących go ze wszystkich stron. Wiadomo bowiem, jaki ze Szczodrego sąsiad. Już mu tak to Wrona wygarnął, że bogaczem w pięty poszło. Dobrze się Wronie i innym małorolnym kulakom dał we znaki jako sąsiad. Jak nie o plot, to o granicę się kłócił, któregoś dnia nawet na Wronę z kłonicą wyskoczył, bo mu ponoc plugiem zajechał kawałek między. I Wrona powiada, że jak we wsi będzie spółdzielnia, to i sąsiadzi będą dobrze żyli ze sobą. A kulak wtedy nie będzie miał siły przeciw kolektywowi występować. Już w Szadku jest początek spółdzielni, Szymonik, Owczarek, Antosik dawniej spierali się ze sobą o byle co, zaszłości sobie każdego kupionego prosiaka. A teraz to i między między nich sporów nie wnoszą, zgodni są i o wszystkie sprawy razem zabiegają...

— Tak jest w kolchozach — podjął Borkowski. — Tak żyją dobrze ze sobą, że jak na ten przykład — długo istnieje kolchoz „Czerwona Basztanka”, ludzie nie pamiętają żadnych swarów. I wszyscy mają na względzie wspólne dobro.

— Powiadasz, że tylko wspólnota może zgodę zaprowadzić między ludźmi? — podniósł się wrzask od opozycji. A najwięcej to krzyczał Więciorek. — Madryś Borkowski, madryś, ale w spółdzielni to nie przedko będziecie. Zapomniałeś rozmowę ze mną?

Borkowski dobrze jednak pamiętał przykazania kulackie Więciorki. „Ezraz wyprostował się, oparł rozczapierzone dionie o odkryty czerwonym suknie stół i rąbnął taką mowę, że Więciorek zamilkł. Tylko rozdzławiona szeroko gęba świadczyła o jego wielkim zdumieniu. Borkowski zaś kończył: — Wiedziecie Więciorek, że w naszej Jasionnej jest już Komitet Załozycki. I ja do niego należę. A spółdzielnia będzie nie długo...”

Wydawało się, że tylko wspólnota może zgodę zaprowadzić między ludźmi? — podniósł się wrzask od opozycji. A najwięcej to krzyczał Więciorek. — Madryś Borkowski, madryś, ale w spółdzielni to nie przedko będziecie. Zapomniałeś rozmowę ze mną?

Borkowski dobrze jednak pamiętał przykazania kulackie Więciorki. „Ezraz wyprostował się, oparł rozczapierzone dionie o odkryty czerwonym suknie stół i rąbnął taką mowę, że Więciorek zamilkł. Tylko rozdzławiona szeroko gęba świadczyła o jego wielkim zdumieniu. Borkowski zaś kończył: — Wiedziecie Więciorek, że w naszej Jasionnej jest już Komitet Załozycki. I ja do niego należę. A spółdzielnia będzie nie długo...”

Dyskusja na temat opowiadania w Związku Radzieckim pomogła usunąć wątpliwości i braki oraz odżyła ten rodzaj literacki na wyższym poziomie. W zeszłym roku wyszło około 20 zbiorów opowiadań. Miesięcznik „Nowyj Mir” zaczął publikację opowiadań w każdym prawie numerze, „Ogoniok” przeprowadził masowy konkurs na opowiadanie, który pozwolił odnaleźć nowe talenty. Państwowe wydawnictwo literackie (Goslitizdat) opublikowało, trzymomowy wybór najlepszych opowiadań radzieckich. Wreszcie opowiadaniem zainteresowały się żywiej masowe dzienniki. Zaplanowany został na jesień zjazd pisarzy, poświęcony zagadnieniom małej formy prozatorskiej.

Grzegorz Timofiejew

Tadeusz Szewera

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

PO STRONIE WYZYSKIWAŃ

III.

DYGASIŃSKI na początku lat osiemdziesiątych broni jeszcze gorąco programu pozytywistycznego. Broni go bodaj najdłużej ze wszystkich znanych pisarzy mieszczańskich. Szczególnie ostro atakuje klerikalizm i demaskuje kosmopolityzm konserwatystów i klerikałów i ich pretensje do reprezentowania patriotycznych dążeń narodu. Na początku lat osiemdziesiątych jest Dygasiński jednym z najzręczniejszych i najszybszych obrońców postępu świeckiej oświaty, podkreśla laicki charakter rzetelnej nauki w okresie, kiedy u wielu pozytywistów występują objawy „znużenia” postępu. Szczególnie gorąco, odważnie i najdłużej broni Dygasiński materialistycznej koncepcji w naukach przyrodniczych.

W latach 1886 — 1887 obserwujemy w wystąpieniach publicystycznych Dygasińskiego wyraźne przemiany ideologiczne. Znajduje to wyraz m. in. w związku się z piarzem z grupą „Głosu”. W artykułach Dygasińskiego z tych lat odczytujemy ostre rozczarowanie do całej ideologii pozytywistycznej. Co więcej, pisarz potępia praktykę społeczną i odsłania wyraźnie klasowy sens hasła pracy organicznej („...Kto doszedł do dobrobytu?... — pisał w roku 1886 — ... przemysłowcy bogaciili się u nas zawsze, no i używali bogactw tak samo przed programem pracy organicznej jak i obecnie...”). Jednocześnie w ideologii Dygasińskiego zwyciężają tendencje antywilizacyjne i antyurbanistyczne. Zjawia się pochwała „swojskości”, apoteoza prymitywu i pierwotności chłopskiej („Chłopek jest mędrzy od inteligenta, ponieważ w każdej chwili ma na oku byt i jego podstawy: on pracuje, a niczego się nie żąda, co jest jego”).

IV.

Około roku 1887 należy postawić również zasadniczą cenzurę w rozwoju ideologicznym i artystycznym Dygasińskiego. Pisarz rozpoczął już późno, dopiero około 1883 roku ukazuje się jego nowela o tematyce wiejskiej. I one przede wszystkim wypełniły pierwszy okres jego działalności pisarskiej.

Wczesne opowiadania Dygasińskiego demaskują przede wszystkim przeżytki feudalne. Ze szczególną uwagą i pasją pisał o pi-

sarz podłość, egoizm, kosmopolityzm i potworności obyczajowe w życiu obszarńkwa. („Na pańskim dworze”, „Świat i ślepa dziewczynka” i in.). One bowiem były najbardziej dostępne jego obserwacji i doświadczeniom społecznym. W obserwacjach tych mieściła się również często podkreślana przez Dygasińskiego służebna rola plebanii wobec obszarńkwa. I właśnie w obrazach dworu i plebanii ukazał pisarz największą wnikliwość i krytycyzm.

Demaskowanie nadużyć i przeżytków feudalnych dworu obszarńkowego pełniło wówczas niewątpliwie rolę postępową. Upadającemu i utracującemu dworowi została jednak usunięta sprawa klasowego zrośnicowania wsi. Wystąpił natomiast naturalistyczny koncept tłumaczenia praw kierujących życiem społecznym. W świecie ludzkim jak w świecie zwierzęcym panują w istocie te same prawa, bezwzględna walka o byt.

Ten „materializm przyrodniczy” (według określenia Marksa) nie pozwalał na ukazanie specyfiki praw rządzących życiem społeczeństwa, lekceważył bowiem uwarunkowania społeczne losów ludzkich. „Wielkie prawa przyrody — pisał Dygasiński w opowiadaniu pt. *On i Psyche* — wypiętnowały się w umyśle i sercu człowieka, a obok nich, podrzędnie tylko, istnieją tylko zniołki, drobne i zmienne prawa społeczne”.

„Materializm przyrodniczy” Dygasińskiego widoczny jest szczególnie w cyklu opowiadań będących swoistą polską odmianą powieściowego cyklu Zola pt. *Rougon Macquart* — *Na pańskim dworze*, *Von Molken*, *Głód i miłość*, *Na warszawskim bruku*. Występuje on jaskrawo i w opowiadaniach, w których pisarz przeprowadza paralele między życiem zwierząt i ludzi (*Co się dzieje w gniazdach*, *Wilk, psy i ludzie*). Manifestuje go zresztą Dygasiński w całym, po prostu natrętnym komentarzu odautorskim, jaki spotykamy w każdym niemal utworze.

Mimo naturalistycznych uogólnień pierwsze opowiadania Dygasińskiego posiadają wiele wartości realistycznych w demaskowaniu za-

cofania feudalnego. Ukazywał piararz rzeczywiste, społeczne przyczyny nędzy i poniżenia komorników, służby folwarcznej (np. *Za krowę*, *Wilk, psy i ludzie*). W Formie na pół żartobliwej uwagi spotrzągał przecież Dygasiński, sam często deklamowany, analogię między losem inteligenta pracującego a losem wiejskiego proletariusa.



Mal. Józef Chelmoński

„Mój sprawiedliwy obywatel ze Skowronna nie miał nawet własnej chałupy: był to bowiem komornik podobny nieco do mnie, posiadał podobnie jak ja, żonę i dzieci, pracował, jak ja — chociaż nie w zawodzie literackim”.

Około roku 1887 — jak wspomnieliśmy — występują w piarstwie Dygasińskiego istotne przemiany ideologiczne. Widzieliśmy je szczególnie jaskrawo w publicystyce piararza, w zwyciężającej tendencji ludomaniach. Wystąpił one w pierwszej jego powieści „Właściciele” (1887), w której Dygasiński podejmuje po raz pierwszy w obszerniejszej konstrukcji artystycznej próbę ukazania pozytywnego bohatera historii. Powieść zawiera wiele trafnych, realistycznych spostrzeżeń na temat życia wsi w Królestwie w latach osiemdziesiątych. Przedstawia np. trafnie proces parcelacji ziemi szlacheckiej, wyzastańia kulaka, niedole służby folwarcznej. „Właściciele” świadczy jednak zarazem o narastaniu tendencji ludomaniach. Szymon Dziura, pozytywny bohater powieści, przypomina już „dostojnego kmie-

wych uogólnień społecznych. Powieść jest pochwałą chłopca — posiadacza. Jego właśnie odbarza Dygasiński autorytetem moralnym i ukazuje go jako wzór do naśladowania dla całej wsi. Dygasiński nie pominął wprawdzie rozwarstwienia klasowego wsi, ale osłabił konflikt między biedotą wiejską a kulactwem przez niesużne uogólnienia (biedniacy to przede wszystkim ludzie niedbalni i leniwi) lub przez naturalistyczny grotesk (przykład parobka jako zawsze głodnego „zertego chłopca”). W „Zwycięstwie poczytowego właściciela” (1887) — jak wspomnieliśmy — dał również Dygasiński nierealistyczny, nie typowy przykład rozwiązania konfliktu między komornikiem a chłopem-bogaczem. W tym rozwiązaniu poważną rolę odgrywa plebania. Dzięki interwencji proboszcza bogaty chłop oddaje córkę synowi żebraczki, który zostaje później sołtysem.

Rozwiązania i wzorce ideologiczne, jakie ukazywała historia „poczytowego właściciela”, charakteryzują wyraźnie regres ideologiczny twórczości Dygasińskiego. Powieść *W Swojej* służyła nie-

wątpliwie — jak cała ideologia ludomani i *Głosu* Popławskiego — sprawie sojuszu burżuazji z wiejskim bogaczem. Kiedy zestawimy tę obiektywną funkcję piarstwa Dygasińskiego z jego żarliwym, szczerym protestem przeciw praktyce życiowej obszarńkwa i burżuazji (tak widocznym nie tylko w jego listach, lecz i w wielu opowiadaniach i powieściach — choćby np. *Dni i noce w kantorze* lub *Gorzałka*), to zobaczymy jeden z najbardziej jaskrawych przykładów błędów ideologicznych polskiej inteligencji u schyłku XIX wieku. Dygasiński, w latach siedemdziesiątych gorący bojownik z przeżytkami feudalizmu, u schyłku lat osiemdziesiątych gorzko rozczarowany do burżuazji, postępu, nie dostrzegając historycznej roli proletariatu. W utworach z życia Warszawy widzimy raczej ludzi marginesu społecznego, „wysadzonych z siódła” i męty wielkomiejskie. W tej sytuacji rzeczywistą krytykę ustroju zastąpiły wypady antyurbanistyczne i krytyka obyczajów.

Falszywe, naturalistyczne uproszczenia życia społecznego nie potrafiły jednak i w latach dziewięćdziesiątych zniszczyć realistycznych wartości utworów Dygasińskiego. Jest w nich gorąco odczuwana niedola społeczna. Odczytujemy ją we wzruszających losach biedoty wiejskiej, w szczególności służby folwarcznej. Znajdziemy ją m. in. w przedostatniej książce piararza, w historii o *Margielu* i *Margiele* (rok 1901). Wyzyskiwana i poniżana komornica wiejska Margiela znajduje po wielu perypetiach życiowych pracę we dworze. Zostaje pomywaczką, a jej córka służącą „paniusi”. „Laska boska nam wami jak najwyraźniej świeci” — tak oznajmia jedna z kobiet „dobrą nowinę” zmaltretowanej Margiele. Dygasiński w zakończeniu powieści ukazuje jednak rzeczywistą niepewność losów biednej komornicy: „Musimy to dodać, że we dworze zmieniano teraz co miesiąc pomywaczkę i służącą paniusi”. Nawet w powieści apokaliptycznej, w której burżuazja („W Swojej”) jedną z najbardziej pamiętnych scen jest opis niedoli wiejskiej biedoty i ich mieszań, gdzie ludzie „wiedli i gnusili się w okropnym zaduchu, wilgoci, stęchłości”. W tym ostatnim okresie powstaje również znana, najlepsza powieść Dygasińskiego „Zając”, realistyczny obraz folwarku, ukazujący w trafnie zaobserwowanych i pełnych humoru scenach światka oficjalistów dworskich, demasku-

jących obłudę moralności utrwalanej przez klasy panujące.

V.

W roku 1887, w okresie narastającego rozczarowywania do kapitalistycznego postępu, tak ujmował Dygasiński sens historii („W niewoli u człowieka”) — „wyzysk jednych, ażeby drugim było lepiej. Dotychczasowe dzieje świata nie innego nie przedstawiają”. Mimo wszystkich błędów ideologicznych był Dygasiński — sam wyzyskiwany — niewątpliwie po stronie wyzyskiwanych. Elementy rzetelnego humanitaryzmu zapewniają wielu stronicom jego utworów trwałą pamięć i u nas współczesnego czytelnika.

Trzeba jednak tych stronic cierpliwie szukać. Wartość piarstwa Dygasińskiego jest nierówna zarówno pod względem ideologicznym jak artystycznym. Dygasiński pisał w pośpiechu „pod olowianą literą urzędem” („...piszę za przedko „dniówkę” — stwierdzał w liście do córki — to zabija robotę. Cóż począć, kiedy i tak trzeba. Szczęśliwy jestem aż nadto, jeżeli mogę wydolać i napisać tyle, ile się daje sprzedać”). Dlatego niejednokrotnie utwory jego robią wrażenie brulionu, niełatwo w nich dostrzec dłużny i powtórzenia.

Mimo tych wszystkich słabości ideologicznych i artystycznych powieści i nowele Dygasińskiego mówią nam wiele realistycznej prawdy o życiu różnych kręgów społecznych, a przede wszystkim o życiu podstawowych mas narodu, biedoty wiejskiej. Spotykamy w nich żywe i świeże obserwacje życia przyrody. Dygasiński opisywał niejednokrotnie typowe elementy polskiego krajobrazu, szczególnie ukochanego Poniądza. Są to opisy nasycone głębokim liryzmem i zarazem realistyczne, bo ukazujące człowieka i jego pracę nad przekształcaniem przyrody. Zarówno w ukazywaniu losów ludzkich jak i w opisie przyrody postęgiwał się pisarz językiem prostym, wziętym — powtórzmy tu słowa Żeromskiego o wielkim klasyku polskiej prozy Sienkiewiczu — z pospolitego języka, z mowy codziennej szlachty i mieszczaństwa i chłopstwa.

Wbrew utrwalonemu opinii o Dygasińskim — naturalistcie mamy prawo zaliczyć najcenniejszą — i wcale nie małą — część jego spuścizny do tradycji realizmu krytycznego do żywych stronic literatury narodowej.

Jan Zygmunt Jakubowski

JAN LUBIŃSKI

Z ZAPISKÓW NAUCZYCIELA WIEJSKIEGO

GDYBY mnie ktoś spytał — kim w pierwszym rzędzie jestem: nauczycielem czy działaczem politycznym — nie łatwo byłoby mi dać na to pytanie odpowiedź. Te dwie funkcje spłótły się w mój życie tak nierozdzielnie, że oddzielić je dziś niepodobna. Myślę, że służenie będzie powiedział tak: bez jednego nie byłbym drugim. Bez spóldzielni produkcyjnej we wsi Zboże trudno było by szczyścić się produkującą w powiecie szkołą, z drugiej jednak strony twarda walka nauczycieli i aktywność gminnego doprowadziła do socjalistycznej organizacji pracy na naszej tak niedawno, tak jeszcze, zafarfanej i zniszczonej wsi.

A oto jej dzieje, być może największe w świecie, a jednak przecie pełne bohaterstwa i walki. Droga nam wszystkim wieś Zboże leży w powiecie sepolińskim (woj. bydgoskie), wzdłuż szosy prowadzącej z Nakła do Chojnic. Tę malowniczą okolicę zamieszkiwali w zdecydowanej większości kulacy-Niemcy, którzy porzucili na pastwę losu gospodarstwa, uchodząc przed zwycięską Armią Czerwoną. Przejchali wtedy niemało czołgów, wiele pocisków zryło nasze pola. Płonęło zboże w stogach podpalone przez hitlerowców, wyginał żywy inwentarz.

0 możliwościach młodzieży

(Dokończenie ze str. 4)

autorytetu. Tak rzecz wyłożył młodzieźnikom — czerpiąc swą ocenę z doświadczeń organizacyjnych Partii i jej pomocnika ZMP. Nawet w wsiach indywidualnych młodzież w kole ZMP uczy się i wdraża do życia zespołowego, w którym podział funkcji, zadań i odpowiedzialności przygotowuje ją już do nowego życia gromady, opartego na innych stosunkach społecznych — niekapitalistycznych.

W spóldzielni produkcyjnej ta tradycja zetemopowskiej organizacji nakłada się na zmienione u podstaw stosunki społeczne w gromadzie i dopomaga w ich utrwaleniu i rozwinięciu. Młodzież ZMP-owska, wprawiając się w kole do zespołowego działania i zespołowej odpowiedzialności, ceni sobie wino bardzo wysoko prawa do współgospodarowania spóldzielni. Jej walka o praworządność spóldzielni, o prawo głosu, krytyki i inicjatywy może wydajnie wesprzeć starych chłopów w ich walce o to, co wraz ze zmianą sposobu gospodarowania zmienić ma samo życie gromady — o nową treść i organizację stosunków społecznych na wsi.

Jan Danecki

Pamiętam 1-szy czerwiec 1945 roku. Spisywaliśmy istniejący we wsi dobytek: 5 koni, kilkanaście krow, kilka siewników, żadnych prawie innych maszyn rolniczych na 882 ha. Nadełagali nowi mieszkańcy Zboża — przeważnie małodolni z Kielecczyzny, repatrianci z Wołynia, powrócili trochę chłopów miejscowych, wywiezionych do Niemiec. Cała ta małodolność „wieża Babel” nie mogła się początkowo w żaden sposób ze sobą pogodzić. W Gminnej Radzie wodzili rejs najczęście „świątokrzyżacy”, głosowali tylko za swoimi interesami. Stworzyła się przeciw nim koalicja Wołyńców z miejscowymi. Stąd też biedota kielecka pozbawiona była wszelkich kredytów. Wiek przedstawiała przez długi czas obraz godny pożałowania. Obok różnic regionalnych silnie wystąpiły także i religijne. Miejscowi to częściowo protestanci, wołyńcy znowu w części greko-katolicy. Znaleźli się także i baptyści.

Długo zastanawiałem się czemu bierze górę ten domniemany „narodowościowy” i religijny interes nad klasowym?

Pochodzę z chłopskiej biedoty, urodziłem się na Pomorzu, pracowałem trochę przed wojną na Polesiu. Miałem więc — jak się zdawało — szansę na zaufanie u wszystkich we wsi. A jednak niewiele ta ogólna sympatia pomogła. Prosty przypadek dopiero dopomógł mi odnaleźć klasowe przesłanki antagonizmów we wsi.

Było to w roku 1948. Tak zwani „baptyści” skompromitowali się politycznie jako wyznawcy „amerykańskiej wiary politycznej”. Byli to zresztą katolicy, którzy uczyli się stonku do człowieka częściowo w Hitlerjugend, a praktyki odbywali w aktach terrorystycznych, kierowanych głównie przeciw najlepszym synom Partii.

Pozostał we wsi po nich okazały dom, gdzie też urządziłem jako kierownik szkoły — świetlicę. Po przedstawieniu młodzieżowemu rozeszła się po wsi plotka, że jestem bezbożnikiem, skoro w kościele wystawiam wesołe sztuczki. Najbardziej ostro występowały przeciw mnie dwaj panowie — Gliszczyński — właściciel 37 ha gospodarstwa i Urbanowski — użytkownik 82 ha ziemi poniemieckiej. Wylazło sztydo z worka. Obydwa kulacy użyli starej, wypróbowanej nieraz, broni burżuazji — uśłowiali mianowicie pokryły swoje klasowe interesy nacjonalistyczną przesłanką. Tak więc wołyńcy wodzili się za by z kielecką biedotą, niekiedy zaś miejscową w oparciu o



Foto J. K. Maciejewski

władze starościńskie sprawowała dyktando nad większością. Obaj panowie lożyli gruczo na poszczególnych „obożach politycznych”. Mieli zresztą z czego.

Postawiłem sprawę świetlicy otwarcie przed gromadą, wyjaśniłem, że „neobaptyści”, jacy się w tych stronach pojawili, to zwykli wrogowie Polski Ludowej. Gromada stanęła po mojej stronie. Niedawne właśnie regionalne dosyć szybko zniknęły, wystąpiła natomiast wyraźnie problematyka walki klasowej.

Oto rok 1949 — wiosna. Rozpoczęliśmy własne prace organizacyjne nad założeniem pierwszej w powiecie spóldzielni produkcyjnej. Nie chciałem być źle rozumiany, ale agitacja za wyższą, socjalistyczną organizacją produkcji stała się między innymi sprawą moich osobistych ambicji. Chciałem przodować w walce o socjalizm w naszej gminie, chodziło mi bardzo o to, by porwać swoim przykładem nauczycieli całego powiatu. W naszych bowiem stronach chłopcy się liczą z opinią nauczycieli.

Nadszedł ciężki czas. Po pierwszych dwóch zebraniach nie trudno było się zorientować, że większość chłopów chętnie przejdzie na gospodarkę kolektywną. Jednak na następnych okazało się, że liczba chętnych, mimo stosowania zbiorowej agitacji, nie tylko nie wzrasta ale wyraźnie maleje. Rozpocząłem wówczas, wykorzystując godziny pozalekcyjne, indywidualne rozmowy z chłopami. Wybiierałem się raczej słotnie, zadeszczone dni, kiedy ludzie przesiadywali w domach. Chodziłem od domu do domu, bywałem w słoneczny czas na najbardziej odległych

od wsi naszych polach, pomagałem przy pracach wiosennych, stałem przekonywając. Mimo to odczuwałem wyraźnie, że większość chłopów odwraca się od szkoły. Co najmniej 2 miesiące trwał okres, kiedy ludzie nie raczyli odpowiadać na moje — dzień dobry. W tej moze trochę samotniej robocie agitacyjnej napotkałem obu panów — Gliszczyńskiego i Urbanowskiego. Obaj biegali po ludzich z wódką i zakąską.

W walce klasowej, o czym każdy jej czynny uczestnik wie, trzeba najpierw poznać dokładnie taktikę wroga, uzmysłowić sobie wyraźnie jakimi argumentami on operuje. Trudno naszych kulaków posadzać o bogaty repertuar chwytów. Szermowali oni głównie argumentem o utracie ziemi wraz z przystąpieniem do kolektywu.

Powolałem do życia niewielką, ale skuteczną w walce armię... szkolnych dzieci. Ot, po prostu: Wala od Skrobiszewskiego wyrzuciła ojca, że nie ma nawet kata, gdzie mogłaby spokojnie odlecieć lekcie Janek Skrobiszewski, syn średniaka, oświadczył, że nie będzie w czasie żniw niańczył młodszego rodzeństwa, bo od tego są latnie żłobki, urządywane czasowo! Dziewczeta protestowały przeciwko nieczyściwości w chałupach, narzekały na zakalek w chlebie, domagały się elektryczności i mechanicznej piekarni, na co chłopcy, którym przypominały się od razu dolegliwości żołądkowe, nastawiali ucha. Miał agitatorzy podsuwać specjalizację sklepu samopomocowego, domagali się oddania pod opiekę kobiet działu pasmanteryjnego i galanterii, gdzie dotąd nieudolnie spisywali się chłopcy, zupełnie nie znają-

cy istotnych potrzeb gromady w tym zakresie. Skutek był taki, że wieś wszystkie wolne godziny poświęcała na dyskusje o ulepszeniu życia, co rzecz prosta, w dalszej perspektywie otwierało na powrót drogę do kolektywnej gospodarki.

W tym czasie powiatowy Komitet Partii powołał mnie do Komitetu Założycielskiego. Wysunąłem sprawę wysłania delegata na wycieczkę do Związku Rad. I tu sprawę przegraliśmy. Kulakom udało się przeforsować tak zwane — „wahającego się”. Tymczasem był to wróg, który po powrocie na parę odprawach, zachwycał się wprawdzie publicznie ukraińskimi kolchozami, ale potem dał nura w gospodarstwo i milczelnie oraz nieobecnością w życiu społecznym — dał powód wrogim plotkom. Nie też dziwnego, że z liczby 21 członków przyszłego kolektywu pozostało zaledwie dziesięciu. Reszta podpisała nawet deklarację, ale do spóldzielni nie wstąpiła. Uświadomiłem sobie wtedy wyraźnie, jak wielką wagę przywiązują chłopcy do opinii uczestników wycieczek do Kraju Rad. Gliszczyński, który swoje dzieci trzyma w średnich szkołach i bynajmniej nie na naszej nie należy, szeroko rozprowadzał, jakich to głupich nauczycieli mamy teraz w Polsce. „Szkoły nie pilnują, kolchozy by zakładali”.

Istniejący stan pogorszył jeszcze fakt, że projektodawca spóldzielni, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, odszedł do powiatu, na stanowisko sekretarza Partii, co dało kulakom asumpt do tego rodzaju plotek: „W mieście się siedzi, do zdania ziemi was pędzi, karierę na chłopach zrobili”.

Przyszły dalsze trudności. Przynalano nam ekipę łączności. Jakies mieszczańskie fotografowali się przy naszych krowach, moczyli nogi w strumieniu, wachali kwiaty, wczasowali na całego, kiedy sytuacja wymagała największej mobilizacji. Dopiero w następnym roku — 1950, do czekaliśmy się rzeczywistej bojowej ekipy łączności.

Spóldzielnia powstała 22 lutego 1950 roku. Z miejsca okazało się, że nie mamy inwentarza żywego. Członkowie pospędzali najlepsze konie, jako wkład wnieśli przysłówne chabety. Wszyscy zadeklarowali wniesienie odpowiedniej ilości paszy, praktycznie jednak nie było czad karmić tych koni, ani krow. Stąd też musieliśmy z miejsca rozoznać gospodarke, opartą na kredycie i pożyczkach.

Niezapomniana wiosna! Brak koni, traktorami nie dało się orać, gdyż grzęzły w podmokłej ziemi. Wzięli-

my głównie ścierniska, które trzeba było prawie w całości uprawiać wiosną. Rzućmy w tej sytuacji myśl podpisania umów na kontrakcje. Za uzyskane zaliczki można byłoby kupić kilka koni. Tak się też stało. Jeździłem na jarmarki, wykłochałem się z rozmaitymi wydrwigroszami o każdą sztukę.

Nie osiągnęliśmy poważniejszych wyników produkcyjnych w pierwszym roku. Lecz nie dlatego, że z siłą pociągowa było źle. Zawodził na początku ludzie. Brakło naukowego podziału pracy, stale jeszcze dominował rodzinny, szerzyło się nierobstwo. Przykład dawał sam przewodniczący spóldzielni, daleko wiekszy zwolennik kieliszka niż socjalistycznej pracy. Nasi ludzie bali się utracić swojej uniwersalnej wiedzy o hodowlę krow, produkcji buraka, żyta, jeżmienia, pszenicy, pietruszki i cebuli, na rzecz oddania się jednej określonej specjalności. W tym stanie rzeczy trudno było zorganizować brigady.

A jednak w roku ubiegłym podziwiała nas już cała okolica. Obecnie spodziewamy się wycieczek chłopskich z Rzeszowskiego.

Jak to się stało?

Zajrzyjcie kiedy do mojej szkoły. Wraz z założeniem spóldzielni otrzymałem pełną siedmioklasową szkołę. Stoi na wzgórzu, pośród drzew.

Uzyskałem w tym roku, kilkanaście dni temu — 100% promocji. Już ubiegłego roku wyróżniono na sierpniowej konferencji nauczycieli. Nasi młodzieżowi delegaci byli u Premiera i Prezydenta, reprezentowali ZMP na Zlocie Młodzieży Demokratycznej w Berlinie. W Polczynie Zdroju wyróżniono przodownika nauki — Madeja Mieczysława, w Walcu — Krukowskiego Stanisława, w Wicboroku — Pronkiewiczównę Marię i Kulpińskiego Aleksandra. Wszyscy są już uczniami średnich szkół i wszyscy wychowankami naszego kolektywu.

Czytelniku, zapraszamy cie do naszej świetlicy, o którą przed dwoma laty toczyła się ostra walka. Posłuchasz naszego radia, gdyż mamy nie tylko elektryczność (nawiasem mówiąc doprowadziliśmy ją w przeciągu miesiąca, podczas gdy indywidualnie staraliśmy się równe dwa lata) ale własny radiowęzeł. Produkuje się tam przodownicy pracy, śpiewa i deklamuje szkolna młodzież — nadzieja i duma spóldzielni. Możemy także zaproszować ci kino.

Przybądź do nas czytelniku. Opowiemy ci, tak to w ubiegłym roku osiągnęliśmy zwycięstwo, którego odebrać już sobie nie damy.

Jan Lubiński

EDMUND GOŁAWSKI

PO MLECZNEJ DRODZE

INSPEKTOR rolny Pow. Zarz. ZSCH w Cieszyń, gdy zapytałem o przebieg obowiązkowych dostaw mleka, prosząc o wskazanie przodujących gromad i poszczególnych rolników, od razu z pamięci zaczął wypisać nazwiska, liczbami, nazwami gromad.

Notuję szybko. Jan Cieślarski, robotnik rolny (4 osoby na utrzymaniu) dostarczył w r. z. — 4794 litrów mleka od jednej krowy, Karol Borucha (1 ha) gospodarz z Bażantowic — 2744 litrów, Franciszek Bieleś z Rownichowa (3 ha, trzy osoby na utrzymaniu) — 1022 litrów, Józef Juroszek z Izdebnej — 2450 litrów od dwóch krowek...

A z gromad, która produkuje? — pytam już śmiało, widząc, że mój rozmówca poza suchą statystyką dostaw, dostrzegając żywych ludzi, ich stosunki rodzinne, śledzi życie społeczne gromad i gmin.

Inspektor zamyślił się: „Chyba Bażantowice, dostarczyły w roku zeszłym 2600 litrów od krowy. Tak wysoka przeciętna jest tym wyśmienista, że tylko o 20 minut jazdy koleją od miasta Cieszyń, dalej Pańców, Gódczów k. Jordana, Ogrodzowa”...

LUDWIK MAJ

REZERWY BAZY PASZOWEJ

NA Podhalu istnieje możliwość utworzenia szerokiej bazy paszowej — w oparciu o hale i pastwiska — przez racjonalne ich użytkowanie jak i powiększenie. Stworzenie takich baz paszowych nie wymaga dużego wkładu finansowego a możliwość eksploatacyjną od razu dają pełną gwarancję systematycznego podnoszenia hodowli bydła i owiec.

Rozważmy te możliwości:
Po 1) Sianie zbóż odbywa się u nas w warunkach klimatycznych ryzykownych. Pora już zacząć w naszej planowej gospodarce dostosowywać gatunki zbóż według możliwości terenowych i opłacalności. Zbyt jak wiemy, ulega wprężeniu pod większymi warstwami śniegu, pozostającymi dłużej na polach. Bardzo mało jest takich lat, w których by zbiór żyta dawał 8 q z ha. Przeważnie mniej a bywa, że i nie. A znowu na tych arealach zasiany len, w warunkach górskich, daje dobrą masę towarową, co zwiększa dochody chłopa pracującego i przysparza cennego surowca dla naszego przemysłu.

W systemie gospodarki kapitalistycznej

SYLWESTER DZIKI

WIEŚ ŻYWIECKA

WIEŚ żywiecka w okresie wojennym i międzywojennym należała do najuboższych. Szachownice chłopskich zagónów nie mogły wyżywić wielodzietnych rodzin. Toteż chłop gospodarujący na „skicie” często chleba szukał na Orawie, szedł z kosą na Madziary, a nawet wędrował po ocean, by szukać chleba. Dopiero stosunki te zmieniły się po wojnie. W powiecie żywieckim w ostatnim czasie nastąpiła znaczna rozbudowa istniejących zakładów pracy, co umożliwiło zatrudnienie na miejscu setek chłopów w przemyśle. Powstające obiekty Planu 6-letniego w pow. żywieckim potrzebują coraz to nowych rąk do pracy. W rezultacie wzrostu zatrudnienia wzrosła i stopa życiowa żywieckiego chłopa. W ubiegłym roku chłop pow. żywieckiego za pośrednictwem tylko sklepów GS-u otrzymali towarów przemysłowych na sumę 82.301.000 zł. Zużycie węgla na wsi żywieckiej w porównaniu z okresem przedwojennym wzrosło blisko 30-krotnie. Podobnie kształtuje się wskaźnik zużycia towarów tekstylnych, obuwi i innych artykułów codziennego użytku.

Chłopi korzystają również z dużej pomocy państwa w formie kredytów i premii. Tak np. od roku 1949 do 1952 rozprawdzono wśród mało i średniorolnych chłopów 1815 tys. złotych, co umożliwiło podniesienie produkcji roślinnej i zwierzęcej oraz likwidacji odlogów. Wiele kredytów wieś żywiecka otrzymała na cele inwestycyjne i odbudowy zniszczonych niemiecką okupacją gospodarstw. Zaś 119.000 złotych przeznaczono na promowanie wyróżniających się w hodowli roślinnej i zwierzęcej rolników. Młodzież chłopska znalazła dostęp do wyższych uczelni szkół średnich i zawodowych.

W 11 szkołach średnich i zawodowych uczą się 2.340 córek i synów

„Chata Wujka Toma”

(Dokończenie ze str. 2-giej)

naród uprawiający ludobójstwo u siebie nie będzie się wahać przed popełnianiem go poza swoim krajem.

Na żądanie Stanów Zjednoczonych Komisja Praw Człowieka ONZ nie przyjęła petycji. Sprzeciw imieniem USA wniosła pani Roosevelt. W obronie faszystów nie zawahała się użyć nazwiska męża, dając tym miarę upodlenia burżuazji Ameryki. Miarę niepełną. Nadeszły wraz z wojną i wojna bakteriologiczna. Tego również nie mogła przewidzieć Harriet Beecher-Stowe.

Julian Stawiński

Idąc rano ze stacji w kierunku mleczarni w Bażantowicach już po drodze spotykamy na szosie wiele kobiet, a także i mężczyzn pchających przed sobą małe dwukółki z bankami mleka. Żywny ruch panuje i w mleczarni, gdzie ludzie czekają na serwatkę dla świń.

Ilu dostawców macie w samych Bażantowicach? — zagadnąłem kierownika mleczarni.

Rozmówca mój pomyślał chwilę, po czym wstał, podszedł do okna i wskazując w kierunku linii kolejowej rzekł: Do Cieszyń mamy 20 minut drogi, ale nigdy jeszcze nie widziałem żeby wędrował tam ktoś z koszykiem masła lub banką mleka na sprzedaż.

Zaczęłam pytać i pytać. Po wyjściu z mleczarni wiedziałem już coś niecoś o tej gromadzie.

Bażantowice liczą 94 gospodarstwa o łącznym obszarze gruntów 381 ha, w tym 260 ha ziemi ornej.

Przeważają tu gospodarstwa małe (do 2 ha), których jest 67, a tylko 23 od 2 do 5 ha i 4 ponad 5 ha. Ale to jeszcze nie dało odpowiedzi na pytanie dlaczego w Bażantowicach panuje taka „dyscyplina mleczna”.

Bo przecież 2600 l. dostawy roczne przeciętnie od każdej krowy w gromadzie, to o 50 proc. więcej niż przeciętna mleczność krow w Polsce. Z hektara przeciętnie wypada ponad 1000 l. mleka rocznie, to jest trzy razy więcej niż przeciętna produkcja mleka na 1 ha użytków rolnych przed wojną (wszystkich gospodarstw, a więc i obszarńskich).

Zaczęłam więc łazić po chałupach.

„Kiedyś — mówi mi niemłody już gospodarz Jan Wałach — trudno mi było 5 sztuk inwentarza utrzymać. Jako hodowca z zamilowania zabierałem się z miejsca do pracy głównie nad podniesieniem plonów”.

Po pierwszej wojnie światowej Wałach przeniósł się tu z Czechosłowacji i osiadł na 6-ciu ha. Dziś Wałach zbiera około 100 q siana, to znaczy 6 razy więcej niż w początkach w jego gospodarstwie. Buraków pastewnych zbiera — 700 q z ha. Ma inwentarz: 6 krow, koń, 4 sztuki świń (w tym dwie maciorę) i spore stado kur. Paszy nie dokupuje, bowiem z 4 ha ziemi uprawnej i 1 ha łąk Wałach umie wyciągnąć tyle paszy, ile potrzeba na wyżywienie inwentarza. Konieczna czerwona: zajmuje 37 proc. powierz-

chni pól uprawnych, ziemniaki 10 proc., buraki pastewne 13 proc., kukurydza 3 proc., a kukurydza dla trzody około 2 proc. Na pozostałych 35 proc. powierzchni pół-rosnie pszenica, żyto, jęczmień i mieszanki zbożowe.

O dostawie mleka do zlewni nie pytałem, sprawdziłem już w mleczarni, że Wałach w ub. roku odstawił do mleczarni ponad 11 tys. litrów. Ale o dekrete Wałach sam zaczął: „Wyznaczono mi na podstawie dekretu 800 litrów. Otrzymałem za to o 280 zł mniej niż w roku zeszłym, ale dzięki zrównaniu ceny letniej i zimowej mleka, (gdy chodzi o nadwyżki ponad obowiązkowe dostawy) zyskam dzięki dekretowi około 8800 zł dlatego chętnie nadwyżki oddawiam”.

Zaczyna mi świtać w głowie początek odpowiedzi, na to pytanie, które sobie postawiłem, jadąc do Bażantowic. Walka o powiększenie bazy paszowej, jako podstawy wzrostu globalnej produkcji mleka — to pierwsza tajemnicza sukcesów Bażantowic. Ale czuję, że to jeszcze nie wszystko. Szukać będę dalej.

Edmund Gołowski

nych deszczów w potoki, a co za tym idzie — obnażało z ziemi gronie.

Dają się słyszeć głosy, nieprzemysłane pod kątem naszych potrzeb gospodarczych — zaleści wszystkie gronie i „upłazy”. Czy byłoby to słuszne w dalszej przyszłości — to kwestia do dyskusji, na obecnym etapie — absurd, gdyż na uregulowanie i doprowadzenie gospodarki leśnej w zadowolonych warunkach do należytej kultury potrzeba wysiłku lat. Przesunięcie zaś granicy pastwisk na gronie i upłazy jest procesem, który może być w wykonaniu przyspieszony. A teny w całości odpowiadają stworzeniu wysoko wartościowych baz paszowych w części użytkach na wypas bydła a w części na karmę w miesiącach zimowych, przez co proces obnażania groni z gleby odpadnie, gdyż wieloletnie pastwiska nie będą zmuszały do corocznej uprawy gleby.

Po 3-ciej Czerwona rasa bydła w praktyce naszych chłopów wykazuje, że jest najodpowiedniejsza dla warunków Podhala. Wysiłek naszych władz nie okazał się daremny, skoro stan jakościowy bydła został u nas w ostatnich latach — podniesiony. Nie wszyscy co prawda dopracowali się odpowiedniej rasy — jak też ilości. Np. kmiecie więcej chcieliby zwracać uwagi na „handel” drzewem i z tego nielegalnego źródła podnosić swoją „siłę nabywczą” na towary przemysłowe. Ustawa o planowym skupie mleka pouczy ich i zmusi do zająęcia się hodowlą.

Pracujący chłopowie wiedzą jednak, że w pojedynkę nie potrafią poddać tak wielkiemu zadaniu w ostrej walce klasowej z „chłopami-handlarzami”, dlatego Partia i organy władzy terenowej powinny udzielić nam wszechstronnej pomocy dla zespolonej uprawy pastwisk zespolonego wypasu.

Ma przecież swoją wymowę fakt, że powiat nasz w ostatniej akcji skupu zboża według planu skupił 1500 ton zboża. A w tym okresie do końca I kw. br. wchłonią z poza terenu powiatu 4300 ton przetworów mącznych i zboża. Trzeba zrobić śmiały krok naprzód i mocniej postawić na bazę paszową i hodowlę, aby przyspieszyć wykonania Planu 6-letniego na Podhalu.

Ludwik Maj

O LUDZIACH ODZYSKANYCH

(Dokończenie ze str. 3-ej)

krywającemu swe dziennikarskie współautorstwo z Kornekciem. Marek miał matkę, ciesząc się ze sławy syna i dziewczynę — Kazkowi brakowało oparcia w domu.

Kazek Spokorny na tydzień przed ujęciem bandy wiąże się z nią na nowo; nieświadomie bierze nawet udział w ściąganiu swych przyjaciół na miejsce zaplanowanej przez „szefa” kazi. Kazek ugął się przed niegodziwością ogłoszenia, odbierającego mu tytuł przodownika i wypominającego mu dawną kradzież w momencie, gdy z pełną świadomością starał się zerwać z nielegalnym i zbrodnictwem życiem.

W istocie jednak sprawa Spokornego jest nowym świadectwem dużego wyrobienia artystycznego pisarza. Bo nie jest ona przecież wyizolowanym problemem winy i kary — nie zamyka się w obrębie tragicznego losu jednostki — nie jest wreszcie rzeczą ślepego przypadku. Jest to Spokornego stanowi najmocniej — oskarżenie, skierowane w stronę tych, którzy budowali na deprawowaniu młodzieży, jest także oskarżeniem tych, którzy uderzeniem w młodego chłopaka chcieli się zasłonić przed zasłużonym ciosem za prowadzoną dwulicową grę. Sprawa Kazka spłota się w swych ostatnich etapach z pierwszymi pogłosami wielkiej akcji oczyszczającej, przeprowadzonej przez gotujące się do zjednoczenia partii robotnicze i obciąża swym zakończeniem fabryczną klikę oportunistów, nerwowo i ślepo szukają-

Jerzy Skórnicki

Listy z Podhala

Przegląd wydawnictw

Lata międzywojenne

NAKŁADEM Wyd. Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się ostatnio obszerna, z 300 stron licząca praca prof. LEONA GROSFELDA „POLSKA W LATACH KRYZYSU GOSPODARSTWA 1929—1934”. Dzieło to oparte o bogaty materiał źródłowy stanowi cenną pracę naukową dla wszystkich, którzy chcą poznać ekonomiczną sytuację przedwojennego państwa i na pół kolonizowanego przez koncerny i trusty zagranicę. W pracy swej autor kierował się metodą marksistowską, która pozwoliła mu ów „typowy kryzys nadprodukcji” ukazać wyraziście na tle całokształtu chaotycznej gospodarki kapitalistycznej. Autor omawia rolę i politykę monopolizacyjną, penetrującą bogactwa naturalne Polski oraz rolę zagranicznego kapitału opartą na systematycznie najazdach na gałęzie przemysłu. Na tle typowego i powszechnego dla kapitalizmu kryzysu rysuje autor położenie i walkę klasy robotniczej skupionej wokół Komunistycznej Partii Polski, wskazuje na więź łączącą kryzys przemysłowy 1929—34 z kwestią agrarną w sanacyjnej Polsce i „równajacym w bezkresny dół” położeniem mas chłopskich. Praca Grosfelda ukazuje w sposób naukowy ekonomiczne i społeczne przyczyny strajków i powstań chłopskich — krwawych zajął m. in. w Kozdrużu, Nockowie, pod Jadowem.

W oddzielnej części pracy autor omawia dwie drogi wyjścia: jedną którą wybrała burżuazja — drogę fałszywej „reformy”, terroru i „trzymiania za mord” milionowych mas robotniczych i chłopskich właśnie dlatego, że decydują się one wkręcić na jedyną słuszną, rewolucyjną drogę wyjścia. „Aby znieść kryzysy — jak uczył Stalin — trzeba zniszczyć kapitalizm”. Książkę kończy rozdział „Budujemy nową Polskę” — wejrzenie dla orientacji, oceny i właściwego porównania, dla dobitniejszego wykazania słuszności obranej przez Ludową Polskę drogi ekonomicznego rozwoju i przebudowy kraju. Praca L. Grosfelda wymaga oczywiście pewnego przygotowania umysłowego czytelnika ze względu na swój naukowy charakter.

Broszura K. MAŁCUŻYŃSKIEGO i J. RAWICZA „GDY POLSKA RZĄDZIŁA BURŻUAZJĄ” (wyd. „Książka i Wiedza”, str. 110) przypomina najważniejsze afery gospodarcze, ukazuje sprzedażność rodzimej burżuazji i jej właściwe oblicze ukryte za frazesami „silnych, zwartych, gotowych”. Autorzy przedstawiają w szeregu plastycznych obrazów, jak „kapitał zagraniczny pod patronatem i przy współudziale rządów sanacyjnych nie tylko rabował Polskę, pogłę-

biał kryzys, zwiększał nędzę lecz równocześnie Polskę rozbijał”. Autorzy oświetlają „afery żyrdowskie 1923—26”, machinacje Kreugera — „króla zapalczanego”, dzieło mało znanej, łupieżczej ze względu na horrendalne warunki, pożyczki Benito Mussoliniego dla Polski, szereg zakulisowych machinacji W. Averell Harrimana, obecnie trumanowskiego doradcy, który kupował sobie bez trudności polskich „meów stanu” i sanacyjnych posłów. Autorzy wskazują na wielką aktualność w odniesieniu do ówczesnej sytuacji, słów Lenina, który pisał o carskiej Rosji, mówiąc: „Dziś minister — jutro bankier, dziś bankier — jutro minister”. Tak mają się sprawy — wszędzie tam gdzie panuje kapitalizm”. Dwa ostatnie rozdziały cenne są ze względu na fakt, że oświetlają katastrofalną sytuację polskiego lotnictwa — teren szczególnie jawnych nadużyć zarówno rodzimych jak zagranicznych kapitalistów. Omawiana pozycja w ujęciu swoim popularno-naukowa winna dotrzeć do adresatów — jak najszerszych mas czytelników.

O konsekwencjach tej antymarxowskiej, godzącej w żywotne interesy klasy robotniczej i chłopstwa, polityki klikki sanacyjnej mówi praca MARIANA STANIEWICZA: „KLESKA WRZEŚNIOWA 1939 R. NA TLE SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ”. (Wyd. M.O.N. 1952) Cel tej pracy określa w przedmowie sam autor. Jest to „ukazanie źródeł i dziejów odradzania się imperializmu niemieckiego”, przy czynnej pomocy anglo-amerykańskiego kapitału — „złotego deszczu dolarów”.

Autor obrazuje sytuację międzynarodową m. in. Monachium, które skierować miało „bękart zachodniego kapitału” — Hitlera ku Wschodowi, ku ZSRR, po trupie Polski zaprzadanej temuż kapitałowi przez sanacyjną rząd. Autor przypomina znaną taktykę imperialistyczną, taktykę zwleknięcia i maskowania, niewidolnego zresztą, zbrodnictwa — zamiarów, jak np. w wypadku podjęcia pozorujących tendencje pokojowe „rozmów moskiewskich” latem 1939 roku — „prototypu dzisiejszej komedii Kaesonga”.

Drugą część pracy poświęca autor wykazaniu, w oparciu o bogate dokumenty, jak głęboko antymarxowska była polityka sanacji, jak wielką była jej służalcza zależność od antypolskiej polityki zachodnio - kapitalistycznych rządów.

Cytowane publikacje demaskują i stawiają w ostrym świetle zarówno nasz rodzimy jak i obcy zbrodnictwo kapitalizmu, przypominają „lata „głodu, kryzysu, faszystów” — przypominają i ostrzegają. I w tym tkwi ich zasadnicza wartość.

S. K.

Dziewczęta z Czwartej Lewej

(Dokończenie ze str. 4-ej)

zawiesić zaufania Partii, do której kandyduje, że zdaje sobie sprawę z tego, że jest pionierką wielowarstwowości na Czwartej Lewej, i rozumie, że od powodzenia jej przedsięwzięcia zależy upowszechnienie wielowarstwowości wśród załogi. Jednocześnie dyrekcja przystąpiła do szkolenia przadek metodą Kowalowa.

Ślapiński wyznaczył Budzyńskiej maszynę nr 16, 18 i 20 i po dwóch tygodniach pracy Krystyna stanęła wobec widma kłeski osiągając z trudem zaledwie 80 proc. swej bazy produkcyjnej.

Upały minęły. Przez uchylone okna wpływał do hali zapach jesiennych deszczów i chłodnej wilgoci, a pomimo to zrywno na obręcznikach nr 16, 18 i 20 dochodziła do 180 nitów na godzinę przekraczając dopuszczalną normę 160 wrzeciono-godzin.

Krystyna dwoiła się i troiła w staranności, dokładności, cierpliwości, lecz wszystkie jej wysiłki szły na marne.

— Nie rozumiem, co to znaczy? — poskarżyła się wreszcie Ślapińskiemu. — Dlatego u mnie taka duża zrywność?

— Ma pani to, co pani chciała — odrzekł z zimną obojętnością i dmuchnął w wasy. — Gdyby pani została przy swoich trzech stronach, panie święty, to by pani teraz nie miała z artwien.

4.

Nazajutrz, od poniedziałku zmiana Krystynę rozpoczynała pracę o godzinie wpół do drugiej.

Z portierni skierowała się nie na Czwartą Lewą, lecz do kierownictwa przedalnia.

Kierownik przerwał rozmowę z majstrem zmianowym Jastrzębskim. — Nasza narada z majstrem potrwa dłużej — powiedział — więc jeżeli pani ma pilną sprawę, to wolę panią załatwić od razu.

— Ja przyszedłam prosić o zwolnienie z pracy, panie kierowniku.

— Jak to, o zwolnienie? Na jaki czas i z jakiego powodu?

— W ogóle, o zwolnienie...

Krystyna zmieszana się pod uważnym spojrzeniem niebieskich oczu siwowłosego kierownika.

Władysław Rymkiewicz

Gazetka gminna

„Mąż zaufania”

Kapitałną korespondencję do „Rolnika Polskiego” nadesłali chłop z Ujścia nad Notecią. W liście tym gromadziła odwołanie wreszcie wotum zaufania farbowanemu działaczowi miejscowemu. Farbowany był on nie od dzisiaj. I nie od dzisiaj o tym wiadomo. Zie oczywiście, że tolerowano lisa farbowanego aż na pozycji „męża zaufania od wszystkich kontraktacji, członka prawie wszystkich komisji oraz w tej samej osobie prezesa gromadzkiego koła ZSCh”.

Ale bywa i tak, że mądry Polak dopiero po dziesiątej szkodzi. Ciekawe, która to z kolei i jaka szkoda spowodowała ów list, młodziutki w opinii publicznej ob. Franciszka Mikolajewskiego?

Kiedy zajmował poniemieckie gospodarstwo z całym inwentarzem martwym i żywym — być może, mówiono — ma chłop przedsięwzięcie i roznach.

Kiedy z 12 sztuk bydła spadł przedko do 4 ch a 30 ha zwał od 14 tu — znaleźli się tacy, co jeszcze w tym widzieli „głowe nie od parady”.

Ale kiedy w 50 r. wypelniał zaledwie 60 proc. skupu zboża i przy kieliszku w gospodzie uzyskał na resztę umorzenie — zaczęto mówić — „magik”.

Magik i magik. Bo mało, że oszukał państwo ale jeszcze otrzymał na zebraniu rolników pochwałę od przewodniczącego MRN. Magik w 51 r. otumaniał nowego przewodniczącego, że ma 8 ha, choć obrabia przesiło 14 ha i zamiast do 5 ton zobowiązano go do 3 ech.

Magik za r. 51, jako prezes koła ZSCh, wysłał sprawozdanie, w którym podał 32 zebrania, z których ani jednego w roku nie odbył. Gadać, gadać ale pisać nie pisano!

Aż dopiero... jak mówi przysłowie: kto w ul dmuchnie, temu pysk spuchnie. Dmuchał mianowicie Mikolajewski w produkcję. W samą produkcję, w sam ul tej produkcji — hohow! A dmuchał tak, że zataił ów „mąż zaufania od wszystkich kontraktacji” premiowanie hodowli i termin spędu hodowlanego. Na konkurs powiatowy stawiał się sam ze swoimi krowami. A że nikogo więcej nie było z Ujścia, on zaś — wiadomo — „członek wszystkich komisji”, więc wrócił z dyplomem i 250 zł premii.

Za to ponizienie chłopów z Ujścia na honorze dostał wreszcie w pysk. Bo chłopów więcej i lepiej hodują coraz bardziej dla honoru pracy „dla sławy tej pracy”. **Emil Konieczek**

Wiarus spod Wirginii

Nie miała baba kłopotu kupiła se prosie, a ja dla tej chętki zaplanowałem tyto Wirginia. W tamtym to było roku. I odtąd przytrafiałam mam nie do zliczenia. Podpisałem zobowiązanie, że wybuduję szusarnię z cementu. A cement miał być w maju albo z początkiem czerwca. W tamtym to było roku. Przeszedł maj i czerwiec a cementu nie widać. Zaczęły się żniwa, koniec już następował lipca dopiero się cement pokazał. I buduj tu na taki czas szusarnię. Ile ja zdrowia przy tej robocie straciłem a głowę to był całkiem, bo tu liście schną na krzakach, bo szusarnia idzie w górę ale cegły brak na komin bo mi sto cegieł przydzielono a te sto włożył w piec, a tam gdzie komin — powietrze. A na polu niszczy chleb, kiedy tak latam od tytoniu do szusarni i od szusarni do sąsiadów. Dobrze, że mi sąsiedzi pożyczili małych betonków z mostkow na strudze, więc żem jeszcze w porę komin wybudował. Ale od wiosny wolała o te betonki, bo im na mostki potrzebne. I znowu komin nie będzie. A ja się zawzięłam i w tym roku także plantuję. Nawet zostałem przewodnikiem gromadzkim od tytoniu, przez co nowy mnie spotkał przytrafunek. Kiedy my bowiem pojechali do powiatowej spółdzielni w

Mielcu naraili nam inspekta, że to my już z tamtego roku wiarusy Wirginii.

Jak wiarusy to za deski ale gwoździ nie było. Radzili napisać do gazety, wtedy się przeded do nas posuną te gwoździe. Albo — radzili — kolkami, po stolarku. A z cegłą co? — pytamy. — Piszemy, pilnujemy, pewnie będzie. Pomarkotnieli chłopcy i za powrotem do domu, ci co nie byli, nuż się z plantacji wycofawać. Wtedy se przypomniałem, że to mnie przedownik, znaczy cała odpowiedzialność i honor gromady. Dobrze, że było po siewach bo mogłem oblać wszystkie chałupy naszych Wirginiarzy. A nawet wiedziałem, co powiedzieć. Bo w Mielcu wielka się robota budowa i tam się zgadalem z jednym robotnikiem. A ten mi na moje żale powiada. — A w przemyśle są stare fabryki? Odpowiadam — są. A widzisz — powiada — tam stare maszyny, stare urządzenia, nie jedno się psuje a wyciągamy co roku wyższe normy? Mówię — wyciągacie. To tak — powiada — jak ty chwilowo bez cegieł. Wykombinuj do czasu, rusz głową i rusz twój zespół, kto zna stolarkę zbije nam inspekty. Ci co mają mostki, na zebraniu zgodzą się pożyczyc. A w gazecie swoją drogą pisz! **Piotr Bartodziej**

Kłopoty nieprzewidziane

— Na przedwioń było u nas zebranie. Zaplanowane przez Gminną Radę kontraktę wszystkich w gromadzie rozebrali.

Ja mam 8 ha, z tego 7 ornego. Nie wiele myśląc wziąłem do kontraktowania buraki cukrowe i jęczmień i koniczyne i kartofle selekcyjne i groch i gorczyce. A tu po pięciu tygodniach przychodził pan Koszela z Rady z jakąś panną i nową ze mną rozpoczynając kontraktację. — Obywatelu — mówię — pięknie by to nawet było, ale dodajcie mi w takim razie pola, bo na moim brak już miejsca na wasze artykuły.

— To u was, widzę, na stodółach i bocianim gnieździe chcieli by kon-

traktować, a u nas znowu tak, że o kontraktce, jaki ze mną znowu, całkiem zapomnieli. Pobrałem w tamtym roku zaliczkę nasienną 280 zł. na sadzeniaki. Jesienią wysłano z PRN-u referenta do oceny, ale ten w Boreczno wypowijał co lepsze nalewki i do gromad już nie dojechał. Nie otrzymałem więc zaświadczenia kwalifikacyjnego i mam sadzeniaki oddać do GS-u, jako jadalne. Telefoniowałem do PZGS-u w Moragu, zaliłem się na konferencji w gminie i na wyborach do Pow. Zarządu ZSCh. Wyniki? Obiecują, notują „protokoluja” a potem widać do kosza rzucają, bo rezultatu nie ma.

Józef Klos

Wspólna droga

Tadeusz Synowiecki w Smarżowej (pow. Jasło) nie otrzymał pełnego rozliczenia z roszarni Inu. Pisał więc do Krosna raz, drugi. Po trzech miesiącach wykopiał list do „Rolnika”. Redakcja interweniowała. Zjawił się wówczas z Krosna „jakis przedstawiciel”, wypytował o co chodzi, przepatrzył rozliczenia i nie dokładnie nie mówiąc — odjechał. Po dwóch tygodniach przybył drugi i orzekł, że ktoś nieprawie pobrał za Synowieckiego tekstyla. Potem pytał po co pisał do redakcji? A skoro to uczynił niechże teraz napisze do gazety, że „była to pomyłka i że już wyrównano”.

Jeszcze nie wyrównano, w tym rzecz — odpowiedział chłop — Kiedy otrzymam, co mnie się należy, wtedy dopiero napiszę.

Na to pan delegat: — Napiszcie do roszarni w Krośnie, co wam najbardziej potrzeba, to wam przysyła. Synowiecki napisał, czekał miesiąc, drugi wysłał list, czekał dwa miesiące, wreszcie mu nadesłano.

Kontraktacja bez odbiorcy

Jako agent kontraktacji zwracam się ze sprawą, która mi leży na sercu. W ubiegłym roku zakontraktowałem u 17 chłopów ziemniaki — kwalifikowane sadzeniaki. Wiosną był gm. instruktor rolny i kazał powyrwać gwałtownie, które inaczej kwitły. Tośmy te urodę, jak przykazano, przeczesali. Do jesieni nikt więcej na kontrolę nie przybył. A w jesieni nie wiadomo skąd roznośliło się, że ziemniaki zdyskwalifikowano i wiosną mają być dostarczone jako przemysłowe. Byłem temu przeciwny i na każdej odprawie pytałem z jakiej to racji takie bałamutstwo? Badano? Nie! Wiedzieliście zdyskwalifikowano? Przecież to ważne i nie zwyczajne — sadzeniaki!

Ostatnio otrzymałem odpowiedź, że obszar był za mały. A to ci dopiero wstąpienie. Czyż nie wiadomo przy zawieraniu umów ile u każdego będzie pola? Robiono zastrzeżenia? Nie. A przecież wiadomo było, że na sadzeniaki poszli małorolni, najbied-

ni, którzy nie mieli własnych sadzonek.

I teraz otrzymają po 19,45 zł. tak samo jak ci oporni, którzy myśleli sobie w jesieni — nie dostawie teraz zwykłych ziemniaków a wiosną się zżobac. Ale ich już dosięgła ręka sprawiedliwości, otrzymali upomnienie aby dostarczyć kartofle, jako załatwienie do GS-u.

Trzeba aby ręka sprawiedliwości otoczyła teraz opieką tych małorolnych, co wyhodowali sadzeniaki. Bo oni już wożą je i drą buty, chodząc od CUS-u do Komitetu za sprawiedliwą zapłatą i za niemarnowaniem sadzaniaków. Bo co innego użycie kartofli do przemysłu a co innego do reprodukcji a mamy przecież tereny zawieruszone i trzeba podnosić gatunek.

Trzeba o to dbać, bo w okolicy upadnie chęć do kontraktacji, jak to już ma miejsce przy Inie.

20 kwietnia 52 r.

Bolesław Dorawa

Miastko, woj. koszaliński

Pan delegat — biurokrata

Jeśli chcecie dowiedzieć się jak działa delegat CUS-u w okolicach Tarnów — Góry, posłuchajcie Jadwigi Gólkowskiej ze wsi Miedary. Pracuje ona aktywnie od 45 r., „ale teraz ręce mi już opadają”. Czyja to zasługa? Delegata CUS-u. Jak — spytacie — może wpłynąć delegat od skupu i kontraktacji na zahamowanie aktywności społecznej? Dwoma prozami Was sposobami. Jeden polega na tym, jak informuje Gólkowska, żeby „coraz mocniej grać na nerwach”, drugi żeby w opinii społecznej „odebrać człowiekowi honor i uważanie”.

A gdybyśmy tak powiedzieli o tym p. delegatowi? Oburzyłby się, ręce. — Coś takiego? U mnie sprawa jest jasna i prosta. Wysyłam oznajmienie. Gólkowska z Miedary... o proz — 128 kg. mięsa. W marcu — upomnienie. Znaczy, czuwać, pilnować dostawy. W kwietniu wyzywa ją prokurator. Musiała go zabijać, bo wraca i gada, że otrzymała zwłokę na dalszy termin. Czy to nie zły wpływ? Ładnie bym wyglądał, gdyby nasze terminy nie obowiązywały, więc w maju drugie się upomnienie, a po pięciu dniach znowu upomnienie z dodatkami 10 proc. zwłoki.

Powinśzować, podziękować i postawić kropkę? Nie, moi kochani.

Bo pan delegat, jeśli wycylił 128 kg. tzn. od... 3 ha. Tyle ziemi ma Gólkowska, w tym ornej — 2,19 ha. Znaczy — małorolna. Rodzina składa się z 5 osób. Dzieci troje — dwóch chłopów poniżej 13 lat i córka (23) ułomna. Mąż ma 60 lat i sterane zdrowie, pracował w kopalni 27 lat. Był górnikiem. On robotnik z przeszłości, żona małorolna a razem nie to nie mów panu delegatowi? On pilnuje sprawy. Czyje to sprawy?

Pan delegat, kiedy zapisywał wielkość dostawy, wiedział, że Gólkowska dobrze prowadzi gospodarstwo. Ma 2 krowy i jałówkę, trzyma maciore. Czy nie ucieczyło się serce pana delegata na widok tak rzadnej gospodarki? Czy nie zastanowił go ten przykład, dowodzący jak wielkie rezerwy produkcyjne tkwią u małorolnych? Czy nie poczuł się zobowiązany do troskliwej opieki nad takimi Gólkowskimi, oby nic nie hamowało ich rozwoju?

Bo pan delegat wiedział, że Gólkowska ma maciore, ale w chlewie żadnej świni ani prosiaka. Wiedział, że Gólkowska liczy na pomiot w kwietniu. Wiedział, że wobec tego pragnie i prosi o termin późno-jesienny. Ale pan delegat jest biurokrata. Ze górnica rodzina nie to dla niego, że małorolna — nie, i że maciora — też nie.

A maciora to przecież dowód świadomej i poważnej podjętej hodowli. I tam, gdzie maciora, nie można żądać zakupu warchlaków do tuczenia, szczególnie kiedy ma to miejsce u małorolnych.

A biurokrata puścił cały aparat w ruch: upomnienie, prokurator, obciążenie karną nadwyżką i poderwanie dobrej opinii w gminie.

Taka to jego sztuka — biurokraty. **Wojciech Pawelec**

Nie trzeba nauki i zawodu?

„Przyjaciółka” w rubryce „Rozmawiamy o naszej przyszłości” zamieściła dwa podstawowe dla dalszej dyskusji listy.

Jeden — Marysi P. szesnastolatki, która pragnie wyjść za mąż ale „nie może zdecydować się na przerwanie nauki, bo... mama nie pozwoli”.

Drugi — p. Kalemby z Krakowa, która ocenia Marysię jako „dojrzałą do małżeństwa” a „szkoła i zawód to dobre wyjście dla tych dziewcząt, które są brzydkie lub nie lubią rodzinnego domu”.

Pospasyły się listy. W większości pisały dziewczęta i chłopcy. I w większości — huza na p. Kalembe z Krakowa, że „ulega zasadom obyczajowości burżuazyjnej”, że „patrzy oczyma przedwojennego mieszczucha”, że „nie rozumie momentu historycznego, jaki przeżywa wszystkie kobiety w Polsce Ludowej” itd.

Cóż w tej zawierusze oburzenia wydaje się najcenniejsze? A to, że w wystąpieniu matrony krakowskiej dziewczęta i pracujące kobiety ostrzegły przeciwstawienie **małżeństwa — nauce i zawodowi**. Listy odpowiadają na tę „provokację”. Bardzo mocno i bardzo znajennie.

— „My kobiety musimy być dumne z tego, że możemy pracować na równi z mężczyznami i widzieć za to Polsce Ludowej a Ona nie powinna się na nas zawieść”. (1)

— „My żyjemy w dobie Planu 6-letniego, kiedy piękna jest dla młodej dziewczyny — murarz, traktorzysta, racjonalizator, przewodnik, inżynier i uczonej. I tacy też chłopcy nam się podobają”. (2)

— „Jakże Marysia P. ma przerwać naukę, przecież niedługo zdobyłaby już tytuł technika budowlanego. Należałaby do najmłodszych kadr, których nam tak potrzeba. Czy można marnować fundusze, jakie nasze państwo łoży w olbrzymich sumach, aby wykształcić nowych techników i fachowców?”. (3)

— „Kobieta niepracująca czuje się już dziś a będzie jeszcze bardziej, jak by była wyrzucona poza nawias życia społecznego i towarzyskiego. Bo i w życiu towarzyskim oceniamy je z tej strony, czy biorą czynny udział w życiu i budowie wspaniałej przyszłości naszego kraju”. (4)

Warto by dyskusję przenieść na wiejski teren, akcentując sprawę nauki (bo pracy kobietom na wsi nie brak) a w nauce możliwości na miejscu — kursy, czytelnictwo, udział w życiu organizacyjnym i społecznym.

Jerzy Kawka

JANINA GLANK

W DRODZE DO CZYTELNIKA

BIBLIOTEKA Powiatowa w Sławnie, woj. Koszalin, posiada 1252 tomów, gminne, a jest ich u nas 9 — 16.551. Razem księgozbiór obejmuje 17.803 tomów. Nie możemy się jednak pochwalić pokazną liczbą czytelników. Dość będzie podać, że w 1949 r. korzystało z biblioteki gminnej 659 czytelników, w 1950 r. — 1.208, w 1951 roku 3.037 czytelników. Miłośników księgi wprawdzie stale przybywa, ale

twarcie przynajmniej, że na tym odcinku nie jest dobrze. Notujemy znaczny wzrost wykorzystania książek popularno — naukowych. W 1949 r. wykorzystano ich zaledwie 3 proc., obecnie wzrósł on do 11,5 proc. W związku z urodzinami Prezydenta Bieruta podjęliśmy zobowiązania, w których między innymi zobowiązaliśmy się podnieść wykorzystanie księgozbioru popularno — naukowego jeszcze o 10 proc.



Foto CAF

jak na powiat, jest to stanowczo wciąż jeszcze mało. Czytelnicy rekrutują się w największej liczbie z uczącej się młodzieży, a potem dopiero z członków spółdzielni produkcyjnych, samodzielnych rolników, w małej liczbie z inteligencji pracującej i robotników. W 1951 roku na 3.037 czytelników notujemy 1.518 młodzieży uczącej się i dzieci. I ta statystyka nie jest imponująca. Czytelnika robotniczego nie udało nam się na naszym terenie zdobyć, z chłopami jest najmniej. Jak niemal wszędzie na wsi przoduje młodzież. Mimo to sytuacja nie jest zła, mamy bowiem niewiele być może, ale realne osiągnięcia jakościowe.

W ostatnim roku przeprowadziliśmy w naszym powiecie dokładną selekcję księgozbiorów. Obecnie nie ma w bibliotekach książek bezwartościowych i reakcyjnych.

Selekcja ta początkowo zniechęciła czytelników. Uciekali nam z biblioteki twierdząc, że „nie ma co czytać”, z czasem jednak, dzięki umiejętnemu podejściu bibliotekarzy, wszyscy już chętnie czytają literaturę najnowszą a początkowo było najtrudniej. Bardzo pomagały w tym różne konkursy czytelnice organizowane przez ZSCh lub Bibliotekę Wojewódzką. Obecnie na 8 bibliotek gminnych i 74 punktów bibliotecznych mamy tylko jeden punkt, gdzie czytelnicy proszą o książki kryminalne, awanturnicze. Nie dostają ich, ale jakże ciężka jest praca bibliotekarza w tej sytuacji!

My, bibliotekarze, bardzo często stajemy w terenie wobec problemu — zorganizowania pierwszego kroku niewyrobionego czytelnika. Szukamy uprzejmie literatury, która by uwzględniła z jednej strony stare tradycje czytelnice, a z drugiej — równocześnie przez swój realizm — stanowiła pomost do naszej nowej, socjalistycznej książki. Pomocne są nam w tym książki Turgeniewa, Orzeszkowej, które są chętnie czytane. W ostatnich miesiącach ten „pomysł punkt” alarmował do nas o powieści Tolstoj a i W Hugo, które, jak wskazują sprawozdania, są wykorzystywane. Wydaje się, że stąd już niedaleko do klasyków socjalistycznej literatury.

Najchętniej wykorzystana jest literatura piękna, daje się jednak zauważyć uprzedzenie do tłumaczeń. Sprawę te bibliotekarze rozwiązali przez dostarczanie książek do domu czytelnikom. Wtedy czytelnik, mając mały wybór, brał książki przyniesioną przez księgozbiór, czytał ją, a przy zmianie sam prosił o tłumaczenie dodając — „tylko żeby było takie ładne jak poprzednie”. W jednej z naszych bibliotek gminnych, w Sławnie, zostało w ten sposób zaprogramowana książka „Milioner” — Mustafina.

Książki rolnicze i gospodarcze są czytane również chętnie i uważnie. Złuszczają czytając je gospodnicy, które też często proszą o książki występnę z dziedziny leśnictwa i wychowania dzieci. Księgozbiór społeczno — polityczny wykorzystuje się przeważnie młodzież, składająca egzaminy, nauczycielstwo oraz aktywni gromadzki. Trzeba jednak o-

bioteki gminne w naszym powiecie postawiły sobie za zadanie pozyskania absolwentów, początkowego nauczania — byłych analfabetów dla sprawy stałego czytania. Już w marcu 1952 Punkt Biblioteczny w Radosławiu gm. Września zdobył 11 byłych analfabetów. Jedyną przeszkodą w prowadzeniu tej akcji jest brak książek przystosowanych treści i formą graficzną dla nowego czytelnika.

A teraz niemniej ważna sprawa. Jak wygląda współpraca Gminnych Rad Narodowych z bibliotekarzami? W naszym powiecie zaledwie kilka GRN opiekuje się i pomaga bibliotekom. Są to gminy: Zukowa, Dobiesław i Sławno. Zupełnie inaczej zapatrują się na sprawy bibliotek pozostałe Gminne Rady. W gminie Pejkowo, przewodniczący GRN nie

pytając o zdanie bibliotekarza i bez porozumienia z Prez. Pow. Rady Narodowej czy Biblioteką Powiatową, umieścił w lokalu biblioteki Biuro Skupu i Kontraktacji. Mimo natychmiastowej interwencji, biuro 'o do dziś tam się znajduje. Bibliotekarz nie może wcale pracować, o prócz wypożyczania nie prowadzi żadnej pracy masowej z czytelnikiem. Mało tego — przed kilku dniami w tej samej gminie bez żadnego porozumienia z władzami, przewodniczący GRN zabrał wysokołonego bibliotekarza do pracy biurowej w Radzie Bibliotecznej natomiast „przydzielili” zupełnie surową, nieskoloną siłę, a wsem wobec obwieścił, że „w bibliotece nie ma co robić, a bibliotekarz po kursach nie będzie marnował się w bibliotece”. Teraz, kiedy ruch czytelnicy na wsi ujęty zostanie w nowe ramy organizacyjne, k. dy rewolucja kulturalna stała się przedmiotem szczególnej troski Partii i Rządu, sytuacja z pewnością się poprawi — a nasz kwalifikowany kolega nie będzie musiał gryźć pióra w gminnej kancelarii.

Wreszcie parę słów o naszych najlepszych bibliotekach i punktach bibliotecznych. Jedną z pierwszych jest biblioteka gminna w Dobiesławiu, prowadzona przez ob. Kolesińską Wierę. Zdobyła ona 304 stałych czytelników. „Bibliotekarka ta organizuje wieczory dyskusyjne — wieczory żywego słowa. Następne dwie to Żydów i Sławno, które posiadają po 250 czytelników każda. Należy też wspomnieć o bibliotece gminnej w Zukowie, gdzie urządza się często wieczory głośnego czytania. Biblioteki te są również punktualne w sprawozdawczości. Z punktów bibliotecznych należy wyróżnić punkt w Boleszewie gm. Sławno posiadający 105 czytelników. Nie podaję tych faktów aby się chwalić. W sumie przecież nie ogarniemy czytelnictwem nawet 10 proc. ludności powiatu. Ale sporadyczne jeszcze osiągnięcia wskazują na powolny lecz stały proces oraz warunki metody wzrostu czytelnictwa.

Janina Glank



Foto CAF

JANINA CYBALA

CHCEMY ODPOWIEDAĆ ZA PRACĘ

SERDECZNIE dziękuję za zaopiniowanie Waszego pióra. Bardzo mnie cieszy, że mogę podzielić się moimi osiągnięciami i trudnościami w pracy nad upowszechnieniem czytelnictwa.

Najpierw, że tak powiem dane — sakramentalne. Nasza gminna biblioteka w Redle (pow. Białogard) liczy ogółem 2.281 tomów. Mamy 394 czytelników, co oczywiście nie stanowi rewelacji zwłaszcza, że 200 czytających to młodzież a tylko 100 — średniorolni chłopcy. Pozostali w liczbie 94 to inteligencja pracująca. Muszę przytym dodać, że czytelnictwo u nas prawie nie rośnie.

Chciałabym w tym liście wyjaśnić choć w części dlaczego tak się dzieje. Czytelnik nie ponosi za ten stan absolutnie żadnej winy. U nas jest tak, że ludzie dobijają się o książkę. Więc gdzie przyczyna zła?

Książki przysyłają nam odgórnie, to znaczy nikt się nie pyta nas, co ludzie już dawno czytali, ba — nawet z zapominają w powiecie, co nam poprzednim razem przysłał. No i skutek jest taki, że mam pełne półki „Starej Baśni”, „Cichego Donu” czy poezji Konopnickiej. Czytelnik nasz powiada sobie — do pięciu razy sztuka i nie można go w żaden sposób namówić, żeby szóstą raz to samo przeczytał. W tych warunkach zachęcanie czytelnika do książki jest trudne, gdy nie można mu podsuwać nowych bardziej skomplikowanych problemów opisanych w książkach.

Szkoda jest tym większa, bo rozpoczęliśmy z powodzeniem zbiorowe formy czytelnictwa. Były już u nas udane wieczory dobrego czytania, udawały się dyskusje nad książkami. Przy bogatym wachlarzu książek zapomnieliśmy dawno o pojedynczym, chodzącym — jak to się mówi — swoimi drogami czytelniku.

Trzeba, żeby się z nami bibliotekarzami więcej liczyli, bo my reprezentujemy czytelników. Przy naszej pomocy i znajomości terenu możnaby dostawać zestaw książek najzupełniej zaspokajający potrzeby czytelników. Po ogólnokrajowym Zjeździe Bibliotekarzy, tak ma teraz być, oby jak najszybciej.

Druga przyczyna leży w sprawach na pozór błażych, a jednak bardzo istotnych, w naszym terenie. Mam z punktami bibliotecznymi wiele kłopotu, z tego powodu, że musimy jak święci pańscy na plechotę je wzywać z braku jakiegokolwiek lokomoty. Wypada nieraz wędrować 18 km. Stąd też kontrola nad punktami i instruktorzy kuleje.

A dlaczego przypominamy trochę ewangelicznych apostołów? Winniśmy sobie sami po części. Nie bijemy się o należyte uznanie w GRN. Ale z drugiej strony i GRN nie troszczy się o czytelnictwo. Daje głowę zato, że przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Połczynie — Zdroju w ogóle nie wie jak wygląda z bliska bibliotekarka. A znowu bibliotekarz to nie jest dla niego jakaś wyraźnie określona i ważna społecznie figura. To człowiek do zapychania dziur, zajmowania krzesła w przedziałach różnych narod, coś do pokazywania a nie do walki o wyższą świadomość ideologiczną mas chłopskich.

I powiedz Redakcji — czy to jest szlachetne? Każdy z nas powinien pracować jak najszerzej społecznie, bo to jest najlepsza droga do poznania potrzeb kulturalnych chłopca, ale jak nauczyciel odpowiada w pierwszym rzędzie za szkołę a przewodniczący za pracę GRN, tak my, bibliotekarze, za powierzone nam do upowszechnienia książki.

Janina Cybala

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redakcja Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i koloportaz P. P. K. „Kuch”. Oddział w Warszawie, ulica Siebna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80. dod. wewnętrzny 81, 83
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISOW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać na konto PRO Warszawa 1-6842/110
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł. kwartalnie 9,— zł. półrocznie 18,— zł. rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PRO Warszawa 1-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-17242